CENA ZŁ 20

W numerze: Chopin w Związku Radzieckim, Czechosłowacji i Niemczech

SOPOT
ul.Czerwonej Armii 10
Wyższa Szkoła Handlu
Morskiego Biblioteka

Odra tygodnik

NUMER 45 (207) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 27 LISTOPADA 1949 ROKU ROK V

JERZY GRYGOLUNAS

POKÓJ W FALKENSEE

Koniec wojny zastał mnie w wannie baronowej von Rosenberg. Czeremchy kwitły za płotem. Młodzi Niemcy przetaczali beczki z piwem do wojskowych samochodów. W żardinierkach rosły nasturcje. W gabinecie, na pierwszym piętrze pastor Kleiner czytał biblię. W wielkim salonie pokojówka Irma odkurzała aksamitne fotele i dwa brązowe posążki Mefistofelesa i Goethego. Gwizdała pod nosem „Mein lieber Augustin...". Wyciągnąłem się w ciepłej wodzie. Namydloną rękawicą popchnąłem okno. Do łazienki wdarł się strumień powietrza i słońca. Pod oknem na tarasie siedziała baronowa i wachlowała swą wągrowatą twarz liściem rabarbaru. Różowy plażowy parasol ochraniał przed słońcem jej łysiejącą głowę. Patrzyła na łódkę, która dopływała do wciśniętego w jezioro mola. Znałem jej myśli. Rok temu było tu inaczej. Baron von Schulz-Wulkow przyjeżdżał z Frankfurtu do Gertrudy samochodem. W lecie lody smakowały jak w Biarritz. Dzieci z ordynansem wyjeżdżały żaglówką na jezioro. Obserwowała przez lornetkę pochylony żagiel na wodzie. W salonie na ścianie wisiał portret Hitlera. Pułkowa orkiestra grała pułkowego marsza. Chłopcy z Hitlerjugend palili ogniska i śpiewali pieśni.

Na oknie leżał pędzelek i żyletki do golenia. Obok „Mein Kampf" z powyrywanymi kartkami. Wziąłem książkę do ręki i otworzyłem na ostatniej stronie. „Państwo — czytałem — które w wieku pomieszania ras dba o swoje najlepsze rasowe elementy, musi pewnego dnia zostać władzą ziemi".

Nade mną na gałęzi zaskrzeczał szpak. Odłożyłem książkę i wyjrzałem oknem. Po molu szło dwóch nagich żołnierzy. Niższy, piękniej zbudowany, ukląkł na końcu pomostu i w wodzie zanurzył rękę. Zadowolony odwrócił kędzierzawą głowę. Powiedział coś, śmiejąc się do drugiego. Potem wyprostował się i wskoczył nagłym susem do wody. Do ogrodu wszedł Michel. Prowadził za rękę młodą Włoszkę Tinę.

— Michel! — machałem ku niemu ręką.

Wybuchnęli śmiechem i zniknęli w ścianie białego bzu. Zmoczyłem głowę ciepłą wodą i zmywałem brud z pokręconych kosmyków.

— Hej, Michel — zaśmiałem się, bo zobaczyłem, jak wynurzyli się zza krzaków, dźwigając pełne naręcze poczwórnych bzów. — Uważaj, bo cię przetrąci baronowa.

Podeszli do okna. Tina położyła bez na cementowej ławce i wskoczyła na miedziany parapet. Widziałem jej długą, opaloną szyję i ciemne gęste włosy.

— Nie patrzę! — zaśmiała się. — Niech pan szybko się wyciera. Idziemy do Szpandawy, pójdzie pan z nami.

— Po co? — zapytałem.

— Na koniec wojny, na defiladę!

Podniosłem się z wanny, wytarłem ciało ręcznikiem i chlupocząc bosymi nogami po kaflowej posadzce, wciągnąłem koszulę i spodnie. Zsunąłem się za Tiną z parapetu na ziemię. Szliśmy pomiędzy równo strzyżonymi krzakami bukszpanu.

— Myślałem, że żartujecie — powiedziałem.

— Jakto żartujemy? A ty sam tydzień temu nie gadałeś, że wszystko się lada dzień skończy? — wpadł na mnie Michel.

— No tak, mówiłem — przyznałem.

Przed mieszkaniem Hipolita, tzw. popularnie „karczmą", siedziały i stały kobiety i mężczyźni. Poznałem doktora Revesa, Zuzię Kann, Marię, Gimonda, Piccarda, Stanley'a, Charlottę i Grazianiego. Śmiali się i głośno rozmawiali w obozowym niemieckim języku. Obstąpili Michela i Tinę, wyrywając im gałązki bzu. Wiejący od jeziora wiatr rozrzucał włosy kobiet. Piotr leżał na trawie i powoli kręcił korbą gramofonu.

— Idziemy — powiedział Michel — musimy zdążyć do defilady!

Przez staromodną, płaską, jak ucho słonia tubę, wyciągniętego z protestanckiej plebanii gramofonu, zaśpiewała dziewczyna. Doktór Reves, niski Węgier z Oranienburga, o wysuszonej twarzy podobnej do maski mumii Ramzesa II, podbiegł drobnym kroczkiem do Piotra.

— Nie słyszysz, już idziemy, musimy zdążyć na defiladę — zawołał niskim głosem i zatrzasnął płytę. — Co będziesz słuchał jakiejś tam Niemki. Niech Tina zaśpiewa — dodał usprawiedliwiająco.

Z okien domów zwieszały się białe flagi prześcieradeł. Czarny pies siedział przy furtce z wywieszonym ozorem. Na ścieżce przy asfaltowej szosie opaleni niemieccy chłopcy leżeli na ziemi. Przez tekturową rurkę przesypywali żółty piasek z jednego miejsca na drugie. Szedłem między wysoką Węgierką w niebieskim kimono a Tiną. Po lewej stronie szosy, w głębi lasu, wznosiła się wysoka obserwacyjna wieża. Przez rzadkie sosnowe drzewa prześwitywały białe namioty obozowiska cudzoziemców. Na rogu ulicy Goeringa z podwórza wielkiego parterowego domu wyszło trzech Włochów. Machnęli nam na przywitanie ręką. Zdjęli z pleców akordeony i zagrali „Campanellę". Jabłonki i morele kwitły w ogródkach przy domach. Powietrze było przesiąknięte silnym zapachem kwiatów. Szliśmy w kierunku rynku Wąska, wybetonowana, bez chodników ulica prowadziła do wielkiego, ciężkiego ratusza z nieotynkowanych cegieł. Pod oknami przechadzał się wartownik z bagnetem na karabinie. Na świeżych mogiłkach po środku placu żółcił się piasek i świeciły czerwone gwiazdy.

Na chodniku przy transformatorze stał komunista niemiecki Hans Richter. W klapę marynarki miał wpiętą czerwoną wstążeczkę. Kiedy minęli go akordeoniści, szybkim, zdecydowanym krokiem podszedł do Michela i Revesa. Przywitali się i żywo gestykulując poszli szybko na czoło kolumny.

Mijaliśmy ostatnie domy Falkensee. Z kominów unosił się niebieskawy dym. W piecach palono drzewem. Po dwóch godzinach zza zakrętu szosy wyłoniły się pierwsze domy Szpandawy. Czerwone, odrapane ich mury przypominały dzielnicę robotniczą pomorskiego miasta. Gdzieniegdzie z zamieszkałych okien zwieszały się białe flagi. Przed piekarnią Niemki stały w ogonku po chleb. Środkiem szosy przejechał ZIS z radzieckimi żołnierzami. Zielone pudło samochodu lekko podskakiwało na wyżłobieniach asfaltu. W jedną i drugą stronę wędrowały brudne i obszarpane karawany Niemców. Ciągnęli drewniane, drabiniaste dziecinne wózki naładowane walizkami i tobołkami. Bawiłem się małym, złotym posążkem Buddy. Kilka dni temu odebrałem go uciekinierowi z Berlina.

Na skrzyżowaniu dwóch szerokich ulic za ewangelickim cmentarzem stały wielkie jednopiętrowe i małe czarne radzieckie czołgi. Żołnierze siedzieli na gąsienicach, wyglądali z wnętrza, palili papierosy. Na szynach leżały lśniące w słońcu, pogięte i poskręcane druty sieci tramwajowej. Zza cmentarnego muru wychylały się czarne krzyże. Dwa gołębie na jednym z nich czyściły dzióby o marmur.

— Nieznośny upał — powiedziałem, czując jak przylepiona do ciała koszula obciera mi skórę.

— Rzeczywiście nieznośny, niech pan zdejmie marynarkę. — Tina wytarła wierzchem dłoni czoło.

Eskadra samolotów krążyła nad Berlinem. Michel, Reves i Richter podeszli do żołnierzy radzieckich.

Usiadłem z Tiną na pomalowanym na biało rogu chodnika. Dalej rozsiedli się inni. Na koniu przegalopował oficer kozaków. Michel rozmawiał z majorem. Po chwili podszedł do nas.

— Do śródmieścia i tak się dzisiaj nie dostaniemy — powiedział. — Oddajcie kwiaty czołgistom. Te czołgi to tak jakby cała już defilada!

Tina rozdeptała niedopałek na ziemi. Kobiety i mężczyźni otoczyli żołnierzy. Rozmawiali z nimi na migi. Podszedłem z Tiną do czołgów. Żołnierze kładli bez na gąsienicach i zatykali gałązki za pasy.

•

Wracaliśmy krótszą drogą. Po dwóch godzinach marszu wyłoniła się z napełnionego żywicą lasu kolonia niemieckich artystów filmowych. Bogate, wielkie wille stały otoczone gazonami róż, tujami i wyjętymi niedawno z oranżerii płaskolistnymi, zielonymi palmami. Na leżakach siedziały malowane kobiety. Gdzieniegdzie sterczały z jeziora zatopione kadłuby yachtów. Szedłem z Tiną i Michelem. Za nami rozbici na małe grupki szli inni. Zdjąłem koszulę i przewiesiłem ją przez ramię. Okrążyliśmy jezioro i z drugiej strony weszliśmy do miasteczka. Przez okna germańskiego kościółka widać było wiszące na ścianach po obu stronach ołtarza małe chorągwie ze swastykami i wmurowane w ściany tablice ku czci poległych żołnierzy SS.

— Przyjdę do pana wieczorem — spojrzała na mnie Tina pytająco. — Aż wstyd doprawdy, żeby taki potężny mężczyzna kąpał się w maju w wannie. Pójdziemy popływać na jezioro. Dobrze?

— Dobrze panno Tino — powiedziałem, obejmując dłonią jej łokieć.

— Zaczekajcie! — Michel przyjrzał nam się zza zielonych okularów. — Czy nie uważacie, że wieczorem trzeba jakoś uczcić dzień zakończenia wojny?

— No tak, to się samo przez się rozumie — przytaknąłem — ale myślę, że najprzyjemniej wypadnie to w lesie i kiedy będzie już ciemno.

— Właśnie tak zostało postanowione. O ósmej za obozowiskiem Włochów.

— No klawo.

— Ariwederczi.

Pożegnałem się i poszedłem do willi Rosenbergów. Stara drzemała jeszcze na tarasie. Po szerokich schodach wbiegłem na pierwsze piętro. Z sąsiedniego pokoju wyjrzała łysa głowa pastora Kleinera.

— Dzień dobry panu — powiedział.

— Dzień dobry — odkrzyknąłem, trzaskając drzwiami.

Zadzwoniłem na pokojówkę. Po chwili wniosła mi na tacy zupę i konserwy w sosie pomidorowym. Na parterze szczekał pies. Lekki wiatr wydął firankę. Zjadłem i położyłem się na czerwonej atłasowej kanapce. Sięgnąłem po „Budenbroocków" i zacząłem czytać.

O szóstej przyszła Tina. Miała rozpuszczone czarne włosy, przewiązane czarną wstążką. Na ręku dwie ciężkie, miedziane bransolety. Usiadła na brzegu kanapki i wzięła mi książkę z ręki.

— Nie znudziły się panu jeszcze plusze baronowej? — zaśmiała się i zapaliła papierosa.

— Jeszcze nie, Cyganeczko.

— Jeszcze nie, to znaczy, że się znudzą — zaciągnęła się dymem.

— Możliwe. Cyganeczko.

— Co to znaczy to pana „Cyganeczko"?

— Po prostu tylko Cyganeczko. Tyle co bella.

— No, no — pogroziła mi długim, jasnym pod spodem jak listek topoli palcem. Po chwili dodała poważnie: Czy pan wie, że w okolicy są ukryci w lasach maruderzy niemieccy?

— Napewno bujda.

— E, z panem tak zawsze. Nie uwierzy pan, dopóki się sam nie przekona.

Zbiegliśmy po schodach i przez wielki hall wyszliśmy do ogrodu. Na ulicy przy wojskowym wozie polski żołnierz grał na bałałajce. Jakiś ptak śpiewał na dębie, a z kuchni w suterenie dochodziło szczękanie talerzy. Kiedy przechodziliśmy roześmiani koło tarasy Kleiner nisko nachylił się do ucha baronowej. Tutta, biały szpic o bardzo długiej wyczesanej sierści, oparł łapy o jego kolana. Pastor machnął ze złością ręką i strącił psa na ziemię. Poszliśmy wzdłuż brzegu jeziora nad skraj lasu, z głębi którego dopływały do nas nawoływania z obozowiska. Za lasem i koło komendantury żołnierze strzelali w powietrze na wiwat z pepesz, karabinów i rewolwerów. Od czasu do czasu pękały granaty. Mogło wydawać się, że porobili zakłady, kto najwięcej z nich zniszczy amunicji. Na małej łódce płynęło przez jezioro dwóch polskich żołnierzy. Ten co wiosłował mocnym, pięknym głosem śpiewał „katiuszę". Słońce na zachodnim brzegu jeziora szybko zapadało za lasy. Woda była ciepła. Pływaliśmy nie dłużej niż dziesięć minut. Kiedy przechodziliśmy koło wieży obserwacyjnej przy obozowisku Włochów, Tina przycisnęła się do mnie.

— Przepraszam pana — powiedziała — ja myślałem, że pan nie potrafi pływać. Dlatego rano dokuczałam panu.

Nie zdążyłem jej odpowiedzieć, bo z podwórza domku kolejarza Kramera zawołał nas Michel.

— Halo gołąbeczki, chodźcie tu pomóc. Gruchać będziecie jutro! — Michel niósł z Rosjaninem Mikołajem długą drewnianą tyczkę.

— Po co ci to? — zapytałem.

— Na maszt bracie. Bierz i dźwigaj razem z nami.

Podparłem tykę ramieniem i kołysząc się w takt kroków Michela i Mikołaja niosłem kij na plecach.

Za obozowiskiem na polanie w lesie, żółtym piaskiem z nad jeziora zaznaczono wielki krąg. Po środku trzy tafle chodnika miały imitować mównicę. Obok wykopany dół, czekał na naszą tyczkę. Kobiety przyniosły naręcza miękkiego, zeszłorocznego igliwia i kładły na miejscach, które miały zastąpić loże i krzesła. Na czterech rogach zaimprowizowanej areny stały nacięte szczapy sosnowego drzewa. Za pół godziny miała zacząć się uroczystość.

Zrobiło się ciemno. Poszedłem po sznur na maszt do obozowiska Włochów. Koło bud, skleconych z desek i płóciennych namiotów, płonęły ogniska. Nad nimi wisiały kociołki z kawą. Zapach cykorii i pieczonej świni mieszał

(Dokończenie na str. 2)

MARIA KLIMAS BŁAHUTOWA

Rys. Marian Wyrożemski

Sprawa Olgi Kalińczuk

1

Za oknem był mróz. Krzew bzu stuknął obciążoną szronem gałązką w drewnianą ścianę domu. Od strony sadu wiatr niósł sypki kłąb śnieżnej zadymki.

Olga stała przy oknie niespokojna, wzburzona, zła. Przez kruchą szybkę czasu, jaką były dwa dni, dzielące ją od powrotu do pracy, przeglądała coraz natarczywiej jałową twarz kierownika kolejowego konsumu. I głos jego przenikał do jej uszu: suchy, łamliwy, podszyty rozkazem i przyczajoną złością

— Mama! Ja się chyba upiję! Poszaleję na ostatek! — rzuciła w ciepły mrok, falujący koło pieca zapachem chlebowego kwasu.

Drobny cień szeleścił niechętnie przy dzieży. Chleb powoli rósł tego dnia, więc matka była gniewna.

— Oszalała! Wariatka! — mruczała nad żytnią masą, wybrzuszoną lekko i spękaną w chropawe bruzdy. — Ta, nie rób, Olga, zgorszenia na ten ostatek urlopu. A ja pieniędzy nie dam!

— Aha! Bo to ja swoich nie mam... — upierała się dziewczyna.

Godziny pęczniały leniwie i sennie. Wielkie koła chlebowe zalśniły słonecznie na rozłożonym wprost na podłodze papierze. Szary kocur błyskał z wysokości komina oczyma jaskrawymi od głodu. Olga krajała kiełbasę i zaprawiała wódkę.

Wieczorem trzeba było uprzątnąć ostudzone bochenki. Goście wpadli ochoczo do izby. — Mróz! Mróz! Oleńko — wołali i rozgrzewali się jedzeniem, wódką, śpiewem. Tak, było naprawdę wesoło, a groźne widmo kierownika konsumu rozpłynęło się w

nicość. Olga poczuła się lekko, zdawało jej się, że mogłaby fruwać.

Mała lampka kwitła żółtym płomykiem na stole. Hanka — „kulawa nóżka" siadła poza kręgiem światła na ławie. Harmonia w jej rękach zanuciła porywające hasło taneczne. Izba wirowała przed oczyma Olgi.

Później, gdy wieczór ten przeszedł do wspomnień, myślała nieraz: czy to wódka sprawiła wszystko, co na nią przyszło tego dnia, czy też w muzyce Hanki były uroki. To wołanie, które melodia, rzucona przez dziewczynę — kalekę, roznieciła we krwi Olgi, potężniało do obłąkanego krzyku. Stefan Horodaj pochylał się ku niej w tańcu. Hanka śmiała się cichutkim, bezgłośnym chichotem, kryjąc twarz w gorącym mroku.

— Och, ha, Olgo, Oleńko! — nawoływała harmonia. Gdy umilkła, wokół Olgi zaszeleściła pustka. Przed nią to uciekła z izby. Stała, ciężko dysząc, przed gankiem. Podniosła głowę i przeraziła się nagle. Niebo sklepiło się nad miasteczkiem jasne, szklane — wielka miska mrozu, w której głębi pławił się malutki krążek świetlisty: księżyc. Gwiazdy obsiadły gęsto brzegi misy, grube ziarna srebrzystego piachu, nieruchome, martwe.

Ktoś położył rękę na ramieniu dziewczyny. Chwytała szeroko rozwartymi ustami rzeźwe powietrze. Zaciskała na piersiach ręce, by nie krzyczeć. Szła przez głęboki, sypki śnieg ku szopie, otulona ramionami Stefana

Rankiem obudził ją hałas. Uniosła ciężką głowę w stronę głosu. Patrzyła zdumiona w twarz matki, ciemną i zbrużdżoną jak łupina włoskiego orzecha. Roześmiała się z bezmyślnym zadowoleniem niezupełnie rozbudzonego dziecka, gdy stara kobieta zachłysnęła się wreszcie krzykiem i kaszlała, a język jak suchy twardy kawałek sczerniałego rzemienia sterczał z drgających spazmatycznie ust. Kaszel jednak ucichł, a rozbawienie Olgi zgasło nagle, gdy matka zaczęła na nowo zawodzić, kołysząc omotaną w chusty głową. — Boże mój! W świętej rodzinie Kalińczuków taka hańba! Moja córka, a przecież jak suka! Jak suka... Z chłopcem, co się z nią nigdy nie ożeni! Przerażenie targnęło ciałem Olgi. Niejasne wspomnienie minionego wieczoru... Muzyka Hanki — „kulawej nóżki" i taniec ze Stefanem Horodajem... Jest dzień. Zbudziła się, jak zawsze, w ciepłym łóżku. Czego właściwie matka chce?

— Ta, co mama wymyśliła? O co chodzi?

Olga opędza się z gniewem. Zrywa się, w zdumieniu patrzy na podartą bluzkę i spódnicę, w której szeleszczą okruchy pszenicznej słomy. Nie, ona nie pamięta niczego. Niczego nie wygrzebie z tej ciemności, w którą pogrążyła się wczoraj.

W tym czasie wszystkie drogi, prowadzące ze wschodu ku Wiśle, nabrzmiały ludźmi i sprzętem wojennym. Siły frontu rosyjskiego tężały. Uderzenie powiodło Armię Czerwoną szlakiem zwycięstw w kierunku Rzeszy, na Berlin. I nawet te elementy, które cały swój żywot spędzają pod falami historii, obojętne na to, jakim łożyskiem toczą się dzieje świata, zbudziły się do czujnego nasłuchu.

Olga jednak trwała poza wszystkim, co działo się wokół niej. Miała dość troski o samą siebie. — Krasnoarmiejcy — dobrzy chłopcy. Dadzą Niemcom w skórę, że ha! — powtarzała za ludźmi, gwarzącymi z nią przy ladzie sklepowej. Ale naprawdę była zajęta tylko sobą.

Przez okno sklepu widziała w rynku ludzi, drepczących w śniegu koło głośnika radiowego. Daleka stacja nadawcza rzucała w tłum komunikaty frontowe. — Sosnowiec, Katowice, Gliwice, Bytom... — tętniło w pudle głośnika. Olga wyrywała się między ludzi. Stał tam przecież Stefan, śmiał się z czegoś, a ona miała mu do powiedzenia coś, co było dla niej ważniejsze od zmagania się straszliwych potęg wojennych.

— Klient! Panno Olgo, klient! Nafta! — niecierpliwił się Ochenduszko. Olga biegła do beczki, mierzyła nieporządnie, płyn rozlewał jej się po rękach, ostry zapach chwytał za gardło, podrywał wnętrzności twardym skurczem. Klient sykał, odbierając z rąk ekspedientki mokrą blaszankę. Olga czuła na swej twarzy dotknięcie gniewnych oczu kierownika. Przytomniała. Kręciła się po sklepie gorliwie, porządkowała, czyściła, wycierała. Żeby przecież nie zauważył! Żeby się nie domyślił, co się z nią dzieje! Rozważała mąkę do torb, torebek i torebeczek. Włosy jej siwiały od pszennego pyłu. W ustach rósł posmak surowego ciasta. Zataczała się i wypadała za drzwi.

— Klient! Panno Olgo! Klient! Nafta! — irytował się znowu Ochenduszko. Gdy wracała zadyszana, gniótł bezwłosą twarz rękami, cętkowanymi atramentem z nieszczelnego Watermana i ubolewał nad niekupieckim traktowaniem klienteli przez młodzież sklepową. Był złośliwy i nieznużony w zajadłym dopadaniu pracownicy zleceniami, uwagami, spojrzeniami, pełnymi karcących błysków.

Nad rynkiem huczał głośnik radiowy. Ludzie tupali na rozgrzewkę w śniegu suchym, syp-

kim jak piach. Biała kurzawa dymiła z niskich dachów. Gotycka wieża katolickiej fary i zielone banie cerkiewne przerzucały ku sobie z przeciwległych krańców placu dźwięki zegarów, krągłe i zimne jak przeźroczyste, szklane kule. Olga jeżyła się za ladą ponura i nieszczęśliwa. Krajała mydło nadłamanym nożem Wdychała kwaśną woń cytrynowego olejku, zaciskała szczęki, opływające mdłą, ohydną śliną. Wreszcie rzuciła nóż i uciekła na korytarz. Ochenduszko podglądał ją przez półmatową szybę.

— Panno Olgo! Pani więcej czasu spędza poza sklepem niż w sklepie! Co pani tam robi?!

Olga podniosła na niego źrenice twarde jak gwoździe.

— Przecież pan widział! Podglądał pan, panie kierowniku! Rzygam! Poprostu i ordynarnie: rzygam! Chora jestem. Do domu idę. Rozumie pan?!

Szła wysoką groblą nad stawem. Krótki dzień roztapiał się w różowym zmierzchu. Spotkała Stefana Horodaja. Nie chciała słuchać o tym, jakie miasta wydarto w ostatnich godzinach z rąk niemieckich.

— Co mnie tam wojna, Stefanku! Wojnę to ja mam w domu. Ty wiesz, o co!

— Oleńka! Front posuwa się jak błyskawica! Teraz my pojedziemy na zachód. Złote góry będziemy zbierać.

Posiniałą od mrozu, rozpaczy i gniewu twarz dziewczyny rozjaśnia błysk nadziei. Całym ciałem zwraca się ku chłopcu. Zagląda mu w oczy serdecznie.

— To ożenisz się ze mną, Stefan?

— Ja, Olga, dlaczego ja?!

Zdumienie Horodaja gasi jej radość. Usta ścinają się twardo. Głos opada do szeptu.

— Dziecko twoje noszę. Słyszysz?! Twoje dziecko! A ty...

Stefan śmieje nie niepewnie. Zły śmiech, niedobry śmiech, przeszywa dziewczynę na wskroś.

— Skąd wiesz, że to moje dziecko, Olga?! Moje dziecko...

— Ja wiem. I wiem, że jeśli jesteś uczciwym człowiekiem...

Skurcz wzgardy wykrzywia twarz chłopca. Ukośne, zimne spojrzenie nie daje Oldze skończyć rozpoczętego zdania. Milknie i patrzy tępo przed siebie. Słowa Horodaja docierają do niej z daleka. Są tym okrutniejsze, że głos mówiącego ocieka obłudną słodyczą.

— Tak widzisz, dziewczyno, gdyby ja się chciał żenić z każdą, z którą zdarzy się przespać, to by ja już miał dużo żon...

Mrok i cisza. Olga milczy.

— I co? Nie gniewaj się, Oleńka, nie ma sensu!

Do domu niedaleko: krzywa ścieżka przez otuloną śniegiem oziminę sąsiadów. Czerwone światełko w oknie. Wyciągnięta ku Oldze dłoń Stefana zawisła w próżni. Dziewczyna odwróciła się. Brodzi na oślep w śnieżnych zaspach. W głowie jej huczy: bezładne strzępy myśli, zdań, obrazów.

Stefan jest pomocnikiem maszynisty kolejowego. Dla niego wszystkie drogi otwarte. W jakiś dzień, który już rychło nadejdzie, odjedzie na zachód... Złote góry... No, tak! A ona, Olga, zostanie w poniżeniu i wstydzie.

2

Stary Kalińczuk był przed laty zakrystianem rzymskokatolickiej fary. Olga wraz z matką-unitką należały do gromady cerkiewnej. Teraz błąkała się z jednej świątyni do drugiej, opętana nadzieją, że jeśli umiejętnie przedstawi Bogu i wszystkim świętym swoją sprawę, to, co stało się owej nieszczęsnej nocy, odpadnie od reszty jej przeszłości bez śladu. Wznosiła oczy ku ołtarzom.. Klęczała godzinami, zapatrzona w kamienne twarze posągów. Kusiła. Obiecywała.

— Jeśli zechcesz — szeptała, szukając w pamięci ozdobnych zwrotów modlitewnika — potrafisz zepchnąć zło w nicość. Nie ma go. Nie było. Będę wolna! Chodzi mi przecież o miejsce między ludźmi! Rozumiesz? Chyba zlitujesz się nade mną...

Rozstawione w rzadziutki szereg świece nakłuwały ciemność kruchty chwiejnymi żądłami płomieni. Olga drżała. Zdawało jej się, że frasobliwy Chrystus, od wieków zamyślony w płytkiej niszy nad smutkami świata, skinął ku niej oplecioną cierniami głową. Uważała to za znak zgody.

— A Stefana Horodaja ukarz za to, co teraz cierpię — dorzuciła pośpiesznie. — Ukarz go, ukarz! — powtarzała natarczywie.

Opuszczała kościół prawie spokojna. Biegła pod ścianami domów, ślizgając się na brunatnych plamach zamarzniętych pomyj. W przedsionku cerkwi przystawała na chwilę. Zgarniała resztki wypalonego dopiero co uniesienia. Oddychała głęboko słowami mechanicznej modlitwy. Tam, u fary, przemawiała po polsku. Tutaj — po ukraińsku. Uśmiechała się jak człowiek, który otrzymał zobowiązujące zapewnienie, że jego sprawa zostanie pomyślnie załatwiona. Czuła się bezpieczna i bliska zupełnego szczęścia.

Omotane w chusty baby słaniały się wokół niej we mgle własnych oddechów, stroskane i rozmodlone. Jakaś staruszka podprowadziła małego wnuka pod ścianę, z której gorącymi barwami buchała średniowieczna prawda o piekle.

— Nu, Wasylu, pocałuj bożinki w chwostik — chrypiała, utykając korzonkiem skręconego przez reumatyzm palca wybrane miejsce malowidła. Olga kiwała głową z pełnym poczucia własnej wyższości politowaniem. — A, ot, prostota! — myślała i spokój rozpościerał się w jej duszy.

Dnie i noce huczały wieściami o sprawach wielkich. Wojna dopalała się na gruzach Berlina i w fakcie tym była wymowa historycznego symbolu. Zapowiedź bliskiego spokoju nie dotyczyła jednak wszystkich ludzi. W rodzinnym mieście Olgi Kalińczuk wrzało. Mówiło się o bandach faszystowskich, które były postrachem okolicy i mówiło się o bliskiej repatriacji rodzin polskich na stare ziemie Śląska Pomorza, odzyskane po długich wiekach niewoli.

Wiosna owinęła wzgórza, rozsiadłe wokół miasta, smugami młodej zieleni. W rozkwieconym sadzie za cerkwią gwizdał kos. Z ulic, zbiegających się zewsząd ku rynkowi, sypało się na plac mrowie ludzkie. Olga stała w tłumie, zbitym koło starej studni miejskiej. Jeszcze przed chwilą porządkowała półki w składzie za sklepem i nuciła beztrosko. Okno magazynu było otwarte i powietrze niosło jej zapach wiosny, ciepło słoneczne i śpiew kosa. Było spokojnie i dziwnie dobrze. Gdy Ochenduszko targnął drzwiami i krzyknął, by zobaczyła, co się dzieje w rynku, poczuła się jak wyrwana z bezpiecznego zacisza. Teraz przepychała się zwolna, wytwale ku studni, objęta wraz z wszystkimi żądzą patrzenia.

— Trupy! Same trupy, dawno ostygłe, a zsiekane toporami — dyszała obok niej jakaś kobieta.

— Ale nie! Jeden żyje jeszcze. Opowiadał dopiero co... — przeczył ktoś wysoki, wpierając się łokciami w ramiona Olgi.

Jedno, drugie, trzecie szarpnięcie i oto Olga stoi w pierwszym szeregu ciasnego kręgu, zamkniętego wokół rozłożonych na bruku ciał. Czterech mężczyzn. Starzy? Młodzi? Któż to może wiedzieć? Ofiary napadu bandy na pociąg towarowy — kolejarze. W mózgu Olgi przewala się ciemne przerażenie z ciekawością. Ten pierwszy, najbliżej niej leżący, ma głowę zrąbaną tak, że pod krwawą skorupą rany nie znać rysów. Ktoś skanduje głośno nazwiska zabitych:

— Walery Kościuk — maszynista. Andrzej Steczyszyn i Jan Piskorz — konwojenci. Stefan Horodaj — pomocnik maszynisty. Banda zatrzymała pociąg w lasach koło Tarnopola. I ot, macie naszych chłopców...

Olga dławi się jękiem. Pochyla się nad ciałami, szamocze z kimś, kto chwyta ją za ręce. Białe kamienie, zawsze mokre i oślizgłe od wody studziennej, usuwają się spod jej stóp. Straszna plama twarzy Horodaja przesłania wszystko.

— Nie, to nie ja — krzyczy dziewczyna. — Nie chciałam tego, Stefanku! Boże, przecież to nie kara za mnie! Nie za mnie!

— Uspokójcie ją — odzywają się głosy w tłumie. — Kto to? Siostra zabitego? Może wdowa po nim? — domyślają się głośno.

— Wdowa? Wdowa... — podejmuje Olga zdziwiona. Cichnie i zagląda półprzytomnie w twarze, zwrócone ku niej ze współczuciem lub lękiem. Łzy w oczach kobiet, drżenie w twardych rysach mężczyzn.

— Tak, to sklepowa z konsumu kolejowego. Olga Kalińczuk — mówi znajomy głos. Hanka „kulawa nóżka" ujmuje Olgę mocno pod ramię. Prowadzi ją przez tłum. Ludzie rozstępują się w milczeniu.

— On chciał na zachód jechać. Złote góry, opowiadał, będziemy zbierać. I ot, zostanie tutaj — zwierza się Olga głuchym szeptem. — Ale to nie przeze mnie Wierz mi, Haniu. Ja nie chciałam tego.

Hanka nie pyta o nic. Nie przeczy. Przytakuje skwapliwie. Głaszcze Olgę po rękach, po twarzy, poprawia jej rozrzucone

(Dokończenie na str. 2)

Sprawa Olgi Kalińczuk

(Dokończenie ze str. 1)

w nieładzie włosy. Dzień jest wspaniały, wiosenny. Pstre niebo kołysze się nad rynkiem, błękit, zarzucony strużynami obłoków. Białe gołębie oplatają żywym wieńcem ciemną iglicę farnej wieży. Nagrzane słońcem mury cerkwi tchną łagodnym ciepłem. Z sadu za świątynią tryska srebrny gwizd kosa.

Olga oparła się twardo o mur cerkiewny. Wróciła spojrzeniem ku miejscu, gdzie leżał trup Horodaja. Patrzyła długo. Wtedy to właśnie po raz pierwszy odczuła w głębi własnego ciała drgnienie, które dla wszystkich pokoleń kobiet jest nieomylnym znakiem rosnącego w nich nowego życia. Zrozumiała je. Przyjęła jako ostateczne odrzucenie w duszną ciemność.

W połowie czerwca wyjechała z Tarnopola z transportem przesiedleńczym za zachód.

3

Nowakowa wychyliła ku Oldze z kłębów pary twarz płaską i szarą, jak kartoflany placek.

— Miła moja — zaczęła tonem poufnego zwierzania — trzeba tu było przyjść, gdy odeszli Niemcy, a miasto objęli Rosjanie i wpuścili naszych cywilów. Bombowce latały jeszcze nad Opolem. W śródmieściu dopalały się domy. Mosty na Odrze leciały w powietrze. My, tu, „na wyspie" czuwaliśmy jak ptaki, bez snu i jadła.

Dziewczyna zmuszała się do uważnego słuchania. Miarowymi ruchami tarła jakieś prześcieradło o blaszaną pralkę. Stosy

brudnej bielizny i sukien, haftów i koronek odzyskiwały od trzech już dni dzięki jej pracy czystość i piękność.

— Myśmy tu byli pierwsi i do nas należy to, co się zostało bezpańskie i niczyje: odzież i meble, kryształy i dywany, zapasy żywności. Co kto zgarnął, to ma — twardo zaakcentowała Nowakowa. — Ale... życie tu trzeba było ryzykować nie raz i nie dwa...

Olgę przeszył ostry ból. Wokół znużonego ciała poczuła ciężkie pasmo dławiącego ucisku. Wstrzymała oddech.

— Co pani jest? — usłyszała spoza gorącej przesłony, za którą na chwilę znikła twarz Nowakowej. — Czy mi tu pani nie zamierza przypadkiem...

Olga zacisnęła dłonie na brzegu balii. Chciała się uśmiechnąć pogodnie i lekceważąco. Szukała pustymi od bólu oczami spojrzenia Nowakowej.

— Nie. Może pani być spokojna. Mam przed sobą pełne dwa miesiące czasu. Zmęczyłam się. Tak. Po prostu: zmęczyłam się.

— A widzi pani! A mówiłam: nie da pani rady temu wszystkiemu. Ale pani chciała. Upierała się pani. Jak to teraz ta robota będzie wyglądać?

Olga przysiadła na niskim stołku. Nowakowa zadreptała obok niej niespokojnie. Chude łydki, znaczone sino i zielono śliwami żylaków, trzęsły się pod nią. W różowych majtkach jedwabnych i koszuli, odsłaniającej głęboko płaty skóry, które kiedyś najpewniej miały kształt i wdzięk kobiecych piersi, wybiegła na ganek kuchenny.

— Marian! Marian! — krzyczała w stronę garażu.

Lipcowy upał skrzył się jaskrawo na szybach. Olga słaniała się, półślepa z bólu, ku drzwiom, wiodącym na korytarz. Cementowa nawierzchnia podwórza zdawała się palić i drżeć pod jej nogami, aż skośny płat cienia po zachodniej stronie domu okrył ją milczącym chłodem.

Zanim trafiła do Nowaków, błąkała się po Opolu bezdomna. Transport, z którym przyjechała, odszedł w głąb Dolnego Śląska. Byli w nim rolnicy, wiozący cały dobytek i sprzęt na nowe gospodarstwa. Olga porzuciła ich celowo: swoi znali prawdę o niej, obcy uwierzą we wszystko, co o sobie powie. Omijała urzędy repatriacyjne, bo nie miała własnej karty przesiedleńczej. Krewni, z którymi odbyła długą wędrówkę do Opola, nie ukrywali zadowolenia, gdy ich opuszczała. Rychło poczuła się jak zawieszona w próżni, zdana na własne siły i pomysłowość.

W wielkiej kuchni Nowaków przydzielono jej mizerny kąt na węzełek z odzieżą i żywnością. Coś, co nazywano „leżanką", stało się miejscem jej wypoczynku i snu. Tam też dojrzewały ostatecznie jej dalsze plany. Zdarzenie przy praniu o tyle tylko im zagrażało, że Nowakową stać było na to, by Olgę usunąć z domu i zostawić na łasce losu.

— Czy to mój dom jest przytułkiem dla wszystkich przybłędów? Czy to ja wiem, kto ta kobieta jest? — mówiła teraz tak donośnie, że słyszano ją wokół domu i daleko w ulicy Strzelców Bytomskich.

— Milcz! — przeciął Nowak krótko głośne rozważania żony. W ciszy, która zaległa otoczenie domu po tym rozkazie, Olga poczuła się lepiej.

Słońce opadało zwolna ku linii zachodu. Wiatr, łagodny oddech płynącej za pobliskim wałem Odry, zbudził się i nadleciał na ciepłych od całodziennnego upału skrzydłach. Sterta odpadków i śmieci piętrzy się przed Olgą. Mury miejskie, cement, śmietnik... — Ot, w sam raz legowisko dla bezdomnej, szczennej suki — powtarza Olga w nagle rozgorzałej, ponurej nienawiści ku samej sobie. Gardzi sobą, przeklina dziecko, wbrew jej woli dojrzewające do życia, bluźni. Twarde, męskie kroki, śpiesznie zbliżające się w jej stronę, nie zmuszą jej do uniesienia głowy. Któż to może być? Nowak? Cóż gorszego może usłyszeć ponad to, co mówiła jego żona? Czy istnieje głębsza, bardziej poniżająca wzgarda od tej, którą ona, Olga, czuje w tej chwili dla samej siebie?

Mała dziewczynka w czerwonej sukience w czarne kropki wdrapała się zwinnie na ławeczkę pod oknem stołówki robotniczej. Rozkrzyżowała opalone, chude ramiona. — Barum, barum, nie boję się... Wezmę pałki, zabiję się... — pisnęła i zeskoczyła w chwili, gdy Olga przechodziła obok z wiadrem, pełnym wody. Wiadro zachybotało się, wypadło z rąk niosącej, lśniąca dróżka uciekała szybko między nierówności gruntu. — Przepraszam! — szepnęło dziecko i patrzyło przerażone na Olgę. — Och, nie martw się, wesoła biedroneczko — zaśmiała się Olga i zawróciła spokojnie ku rzece.

Wielkie słońce jarzyło się za rzeką. Szła ciężko, szurając obrzmiałymi nogami. Czerwony blask przylgnął do jej znękanych rysów.

Michałowi Kostce, który patrzył za nią z okien stołówki, wydała się w tej chwili gorzkim obrazem samotności kobiecej, dźwigającej ciężar swego przeznaczenia. Prawem skojarzenia ujrzał własną żonę, z dala od domu, w chaosie zdarzeń września 1939 roku; lęk i rozpacz Moniki, tułaczkę i urodzenie syna pod gradem niemieckich bomb i obstrzałów karabinów maszynowych na szosie lubelskiej; żołnierzy, którzy nieśli rodzącą na płaszczu do wiejskiej szkoły; kobiety pielęgnujące ją w dniach choroby.

— Nie! Nie! To przecież nonsens! Któż może dziś wobec obcej podjąć się tak ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku — broni się Michał Kostka przed natarczywą myślą.

— Bardzo wygodna postawa — szydzi rozbudzone sumienie. — Naturalnie, odłóż spłatę tamtego długu na później. Ta kobieta, to może siostra czy żona żołnierza, który narażał życie dla Moniki... Może to córka tej staruszki, co zapraszała twoją żonę na całą wojnę do swojego domu... Ale to jeszcze nie powód do pośpiechu...

Olga nie chciała mówić z delegatem rządu, Michałem Kostką. — Nie znam go. Ja nie partyjna

— upierała się, gdy kierowniczka stołówki potrząsała głową w zdumieniu. — Ależ, kobieto, towarzyszowi Kostce nie mogę zanieść takiej odpowiedzi. To człowiek polityki.

— I cóż mię to obchodzi? — mruczała Olga. Bała się.

A jednak poszła. Sięgnęła głęboko w oczy mężczyzny. Były spokojne i życzliwe.

— Jestem Olga Horodajowa — opowiadała o sobie w następnej już chwili. — Męża mi zabili faszyści. Polska wzywa wszystkich swoich na odzyskane ziemie zachodnie, więc przybyłam. A teraz nie wiem, co ze sobą począć w tutejszych warunkach...

Słowa kłamstwa, wypowiadane przez człowieka, któremu skłonni jesteśmy wierzyć, mają ten sam szlachetny wydźwięk, co prawda. Michałowi Kostce wydało się, że oto los sam stawia go wobec obowiązku podania ręki nieszczęśliwej. Trzeba przyznać, że szczere wyznanie Olgi byłoby dla niego niemniej zobowiązujące. Gorliwie „referuje" swoją propozycję. Olga słucha uważnie — dach nad głową dla niej i dla dziecka za pomoc w pracy domowej i opiekę nad synkiem Kostków, bo matka małego pracuje jako nauczycielka w B. — Nie byłam służącą — mówi Olga. — I nie będzie pani. U nas... nigdy. Będziemy po prostu żyć i pracować razem. W chwili, którą pani uzna za odpowiednią, porzuci pani nasz dom i usamodzielni się.

Olga jest wyraźnie rozczarowana. Namyśla się długo, waha. — Dobrze — powiada wreszcie. — Dobrze — powtarza. — Dziękuję panu. W chwili, którą uznam za odpowiednią, usamodzielnię się. Ślubu przecież nie bierzemy.

— Tak — uśmiecha się Kostka. Z lekkim zdumieniem przygląda się Oldze. Kobieta odchodzi. Przystaje na ciemnych schodach, namyśla się, trze gorące czoło zgrubiałą od pracy fizycznej dłonią. I naraz wybucha drobniutkim, sykliwym śmiechem. Patrzcie! Oto jest brzydka, doszczętnie zeszpecona ciążą, niesie przed sobą wielki brzuch, żółte plamy na czole, wydatnych kościach policzkowych i pod nosem zmieniają jej twarz w odpychającą maskę... Co znaczy ten niespodziany zwrot w jej losie? W dobroć ludzką nie wierzy. Czystości intencyj Kostki nie ufa. Ale to, co oceni jako niezwykłą okazję, decyduje się wykorzystać do ostatka!

4

Z jednej strony czarny płot kopalni. Z drugiej surowe domy kolonii górniczych. Topole włoskie, wysokie, smukłe jak długie, rozchwiane na wietrze pióra.

Środkiem drogi jadą ciężkie wozy z węglem. Woźnice kroczą obok koni, tłuste błoto tryska spod kopyt, kół i butów. Dziewczyna w białym fartuchu fryzjerskim biegnie brzeżkiem chodnika z kuflem pienistego piwa. Schludne gosposie niosą na szerokich blachach pozłociste śląskie kołacze, wypieczone wspaniale w piekarni obok Domu Kultury. Stara kobieta w grubej chuście w szare i zielone kraty tuli w wyschłych ramionach wielki bochen chleba. Młode matki wiozą na spacer niemowlęta w strojnych w różowe i błękitne barwy wózeczkach.

Monika Kostkowa dotknęła lekko ramienia Olgi. — Nie śpiesz się — ostrzegła krótko. Dziewczynie wydało się, że na te słowa oczy całej ulicy zwróciły się ku niej. Staruszka potrząsnęła siwym koczkiem, ulepionym z resztek włosów na czubku jajowatej głowy. Młode matki patrzyły wprost w twarz Olgi surowo, karcąco. Dziewczyna w fartuchu fryzjerki zmierzyła ją od stóp do głowy ciekawym spojrzeniem.

Olga otrząsnęła się szorsko.

— I cóż... — mruknęła. — To dziecko i tak powinno umrzeć.

Monika milczała. Wiązała drobne, dorywcze wypowiedzi Olgi w mocną całość. Prawda, wyzierająca niekiedy spoza gwałtownych słów i gestów repatriantki, nie dziwiła jej. Kłamstwo, którym próbowały się bronić kobiety w sytuacji Olgi, sięgało korzeniami głęboko w stosunki społeczne. — Życzliwość, jaką okaże im prawo nowych czasów, powoli przebuduje dusze takich jak Olga matek — myślała. — Trzeba jej pomóc. Trzeba ją ratować przed nią samą. I dziecko... Och, dziecko...

To, co Olga o nim mówiła, przerażało Monikę. Tym bardziej, że własne macierzyństwo było dla niej źródłem niesłabnącego szczęścia.

Droga do szpitala św. Barbary wiedzie uliczką tej samej nazwy po wyboistym bruku z różowego piaskowca. Pod ścianami długiego parterowego budynku dziewanna kołysze świecznikami smukłych łodyg. Biała siostra szpitalna zbiera płatki barwy jasnego miodu do pudełka z szarego kartonu.

— Tu ci będzie dobrze, Olgo — mówi Monika. — Cieszę się, że to właśnie tutaj. Bo i lekarze i siostry... Powiadam ci, ludzie z niezwykłego zdarzenia.

— Ech!... — Olgę drażnią zrównoważone, pełne pedagogicznych akcentów wypowiedzi Moniki — Czy to nie wszystko jedno: tu czy gdzieindziej... Bo mnie to już naprawdę wszystko jedno.

miły przynoszone im co trzy godziny niemowlęta. Gwar rozmów unosił się nad nimi, jak szum wiejskich much.

Położnice wypoczywały w sali, malowanej na kolor słońca. Spały, budziły się, jadły, kar- Żona milicjanta. Żona robotnika z huty „Seweryna". Żona kupca z Sosnowca. Żona nauczyciela szkoły powszechnej. I żona inżyniera z kopalni „Szczęść Boże". I jeszcze jakaś.. I jeszcze...

Olga słuchała rozmów. Męczyło ją spoglądanie w cudze życie — uporządkowane, legalne, szanowne. Wiedziała, że w jakiejś chwili padnie pytanie o jej sprawy. Tu się tak swobodnie mówiło o wszystkim. Może... może naprawdę nie było niczego, co by te kobiety musiały ukrywać przed sobą. Mężowie odwiedzali w szpitalu żony. Przynosili kwiaty i słodycze. Oglądali z zachwytem synów i córki. Olga przeżywała udrękę podobną do tej, jaką głodny odczuwa na widok zastawionego stołu, do którego, wie, że nigdy nie zasiądzie.

Któraś z chorych zagadnęła ją. Olga rozwinęła długie opowiadanie, w którym każdy szczegół jej życia nabrał starannego retuszu. Zakrystian Kalińczuk został organistą, jego skromna chata rozrosła się w zasobny mieszczański dworek; sklepowa z kolejowego konsumu awansowała na posażną jedynaczkę; Stefan Horodaj był maszynistą, prowadzącym „zagraniczne pociągi". Nagle, gdy dopowiadała ostatnie ze słów kłamstwa, ścięło ją poczucie odrażającej pustki. Przygasła. Nie, w ten sposób nie wyrówna nigdy tej przestrzeni, która dzieli ją od kobiet, jakie w tej chwili nakrywa wspólny dach szpitala.

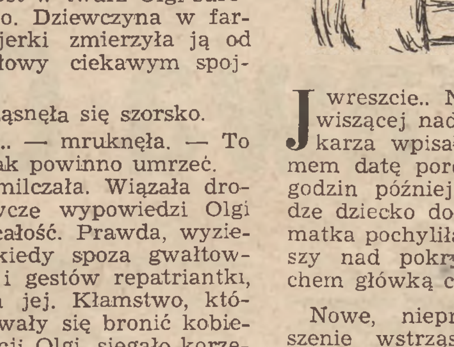

J wreszcie.. Na karcie choroby, wiszącej nad łóżkiem, ręka lekarza wpisała ziarnistym pismem datę porodu. W dwanaście godzin później przyniesiono Oldze dziecko do karmienia. Młoda matka pochyliła się po raz pierwszy nad pokrytą żółtawym puchem główką córeczki.

Nowe, nieprzeczuwane wzruszenie wstrząsnęło jej sercem. Gardło dławił jęk zdumienia.

Oto leży w jej ramionach człowiek, zrodzony w cierpieniu i rozpaczy. Cóż z tego, że droga jego matki była inna niż ta, jaką do macierzyństwa doszły jej towarzyszki szpitalne? Czy to zmniejsza jego prawa do życia? Czy może zaciążyć w jakikolwiek sposób nad jego przyszłością?

— Nie! Nie! Żeby najtrudniejsze życie! Damy radę wszystkiemu, córeczko moja, doneczko moja! — szepnęła Olga. — Maleńka, jedyna, dobrze, że przyszłaś!

Patrzyła pilnie w twarz dziecka. Drobniutkie usta rozchylały się, krzywiły, jak do skargi lub płaczu. Odwracało główkę, nie chciało ssać.

— Nie umie jeszcze — uśmiechnęła się pielęgniarka, przechodząc. — Niech się pani nie martwi, nauczy się. Ma czas.

Myśl Olgi pracowała w pośpiechu, zgarniając skrzętnie wszystko, co odrzucała niedawno.

Monika Kostkowa mówiła nieraz: nie ma dzieci bez nazwiska. Każde dziecko ma przecież ojca. I prawo do nazwiska po nim. Nie ma różnych praw dla dzieci tu, gdzie nareszcie wszyscy ludzie równi.

— Zobaczysz, Olgo, zobaczysz! Przekonasz się! Domy dla matki i dziecka — prawdziwa rzetelna opieka nad tymi, które dawniejsze społeczeństwo skazywało na wzgardę i osamotnienie.

Tak. Kostkowie... dziwni ludzie. Dobrzy ludzie, prawdziwi ludzie... Głęboki, palący wstyd zmieszał się w sercu Olgi z radością, że oto nie odtrącili jej, choć na ich życzliwość i troskę odpowiadała kłamstwem.

Za wielkimi oknami szpitala noc, pełna świateł osady górniczej. Spieszny, nierówny oddech kopalni, zgrzyt windy, opadającej w głąb szybu i powracającej z ładunkiem węgla na powierzchnię.

To, co Olga przeżywa, nie jest jeszcze szczęściem. Jest jednak ukojeniem i ciszą.

Maria Klimas-Błahutowa

KRYŁOW

W dniu 9 listopada upłynęło sto pięć lat od śmierci rosyjskiego bajkopisarza Iwana Andrejewicza Kryłowa. Kryłowa nazywają krytycy rosyjskim Lafontainem. Tworzył on bajki-gawędy, pełne praktycznej mądrości życiowej, wyszydzające wady i występki ludzkie, potępiające niesprawiedliwość. Przejawia w nich dużą zdolność spostrzegawczą i cięty język, przy niezbyt bogatej pomysłowości i głębi umysłowej. Motyw świeżości wnoszą w ich treść, wyrazy i przysłowia, wzięte z mowy potocznej ludu.

Karierę literacką rozpoczął Kryłow od redagowania czasopisma moralizatorsko-satyrycznego pt. „Poczta Duchów". W piśmie tym zamieścił kilka utworów, obcy zresztą psychicznie ugodowemu raczej Kryłowowi, pisarz i rewolucjonista Radiszczew. Kryłow pisał również komedie i tragedie, jednak bez większej wartości literackiej.

Bajki tworzył Kryłow przez całe prawie życie. Pierwszy ich zbiór ukazał się w roku 1809. W następnych latach ukazywały się nowe, narastające księgami, wydania. O popularności bajek świadczy fakt, że w latach 1830—40 rozprzedano ich 40.000 egzemplarzy. W wieku XIX jego bajki pojawiły się w 164 przekładach na 21 języków. Między innymi przełożono je również na język chiński.

WYROK

Wniesiono skargę na szczupaka
Do sądu, że jest plagą stawu: —
Że żyć nie daje kiełbiom, rakom,
A nie przepuści i krewniakom
I ciągle gwałci rybie prawo.
Dowodów na to stos, bez liku
Nagromadzono.
Więc w szafliku
Z wodą, przynieśli winowajcę,
Aby go sądzić jako zdrajcę.
Sędziów zwołano z niedaleka,
(Nie brakło bydląt wśród pastwiska),
W archiwum zachowały nam się ich nazwiska:
Osioł, dwie Szkapy,
Cztery Capy
I Koza, stara i bez mleka.
By mieć porządek obrad pod ścisłym nadzorem
Został Lis prokuratorem.
Krążyły wprawdzie o tym plotki,
Że Szczupak w pstrągi, leszcze, płotki
Zaopatrywał Lisa ongi
(A Lis niezmiernie lubił pstrągi!)
Lecz mimo tego w sędziów gronie
Nikt ani myślał o obronie:
Zbyt jasne były win dowody
No, i dodajmy to w nawiasie,
Aby szkodnika kryć, w tym czasie
Jakoś nie widział nikt wygody.
Więc trudno: uradzono ogłosić ukazem,
Że Szczupaka skazuje się na śmierć tym razem;
Aby napędzić innym lęku,
Lecz oto Lis wystąpił, odchrząknie i powie:
„Powiesić — to za mało, Szanowni Sędziowie!
Jabym mu wybrał karę niesłychaną zgoła,
O jakiej się nie śniło nikomu dokoła:
By grozę posiać w sercach, łotrów, wichrzycieli,
Utopmy zbója w rzece;" — „Swietnie" — wykrzyknęli
Potem poszli nad rzekę wśród przykładnej zgody
I Szczupaka — buch! do wody.

Z rosyjskiego spolszczyła
JADWIGA WAŻEWSKA

Z archiwum „Odry"

List z Wrocławia 1860

KOMENTARZ

Tekst poniższy dobywamy z zapomnianego druku: ogłosił go przed laty periodyk „Postęp. Pismo malownicze, oświacie i rozrywce poświęcone", wychodzące w Wiedniu pod redakcją J. Osieckiego (R. I. 1860, zeszyt 12, wrzesień, s. 234), w rubryce „Korespondencje", pod nagłówkiem „Z Wrocławia". Numer ten otworzył przed nami prof. Stanisław Pigoń, wskazując pozycję, nieobojętną dla rosnącej coraz bardziej wiedzy o polskim Śląsku.

Potrzymy uważnie na podpis autora. W druku położył on tylko pierwszą literę swojego nazwiska: „F". Któżby to był? Jan Mikołaj Fritz, długoletni lektor języka polskiego w Uniwersytecie Wrocławskim? Fritz rozrzucił po prasie ówczesnej tak wielką ilość korespondencji z życia polskiego Wrocławia, że próbujemy jemu najpierw przypisać autorstwo listu w „Postępie".

Ale wystarcza krótkiej chwili uwagi, by odstąpić od domysłu. Autor artykułu prowadzi studia nad dialektami Śląska i posiada w tym zakresie wiedzę skromną, ale realną. Zbiera nie tylko wiadomości o języku, także przekazy folkloru, pieśni ludowe. Troszczy się o poziom ambony, napomina księży, by przemawiali w kościele językiem polskim, nie gwarą. Wszystkie te wskazówki prowadzą zgodnie do innej postaci: to Robert Fiedler (1810—1877), pastor ewangelicki na Śląsku, długoletni kaznodzieja w Kowalowicach w powiecie namysłowskim i w Międzyborzu w powiecie sycowskim, „miłośnik i obrońca polszczyzny na Śląsku", jak go określił sprawiedliwie Kazimierz Nitsch w artykule „Polskiego Słownika Biograficznego" (VI, 5, 1948). Posiadane informacje o życiu Fiedlera, jego poglądy językowe (ocena gwary śląskiej i jej zastosowań publicznych), nawet zapis piosenki „We Wrocławiu pod mostami", podanej gdzieindziej przez pastora z Międzyborza — uzasadniają tego rodzaju rozwiązanie kryptonimu. To artykuł Romana Fiedlera, przedstawiający — jak sądzimy — nie tylko ciekawostkę bibliograficzną, ale i konkretny ślad zainteresowań językiem polskim na Śląsku przed stuleciem. Powyżej parafrazowaliśmy zdanie prof. Nitscha: „jest to pierwszy polski dialektolog, wartości skromnej, ale realnej". Roman Fiedler wyprzedza o lat 25 studia nad językiem ludowym na Śląsku — Lucjana Malinowskiego.

Językoznawcy osądzą, czy prace Romana Fiedlera zasługują na przedruk po stu latach. Jeśli kiedy uzbiera się tomik rozproszonych wypowiedzi R. Fiedlera o języku i folklorze śląskim, pragnęlibyśmy dorzucić do tej książeczki i kartę zapomnianą z „Postępu" J. Osieckiego.

Tadeusz Mikulski.

Sprawa narodowości, a za nią przywrócenie języka polskiego w szkołach, na wszechnicy i w sądownictwie, czego się już podobno w Galicji doczekaliście, każe się spodziewać, że i w Szląsku dolnym, gdzie po większej części język polski jest w używaniu między ludem i mimo wszelkich usiłowań tutejszego rządu germanizowaniu nie uległ, osłonięty zostanie od zagłady i uznany jako czysto prowincjonalny. Według dawnego podziału księstwo Brzeskie z dzisiejszym powiatem Brzeskim, Oławskim i Klucborskim stanowiło część Dolnego Szląska, a język polski jest tu panujący, zwłaszcza między mieszkańcami powiatu Sycowskiego, Namysłowskiego, Klucborskiego, Oławskiego i Brzeskiego, jako też w większej części Księstwa Oleśnickiego. Zbliżając się ku Księstwu Poznańskiemu i Królestwu Polskiemu język staje się więcej zgermanizowany; nie jest on jednak tak zepsuł jak to ogłaszają po pismach nieprzyjaciele naszej narodowości, którzyby zaprzeć chcieli i wytępić wszelki ślad słowiańszczyzny w tych stronach.

Już Bandtkie w swej gramatyce wspomniał, że prowincjonalny język mieszkańców polskich w Górnym i Dolnym Szląsku ma swoją wielką wartość, a ten czyni niesłusznie, kto nim pogardza.

Nie różni się on więcej od naukowego i gramatykalnego, jak narzecze niemieckie około Wrocławia od niemieckiego języka w innych stronach.

Czyniąc wielokrotnie postrzeżenia w okolicach Sycowa i Namysłowa, małą tylko napotkałem różnicę od języka czysto polskiego, a największą różnicę stanowi właściwie wymowa.

I tak: samogłoska a brzmi zwykle jak o, np. pan — pon; czasami znów jak au, jeśli po a następuje l, s, w, np. zbauw zamiast zbaw, paulić zamiast palić — ę i ą wymawiają jak e i o, np. zamiast między, panią mówią miedzy, panio. Są brzmi jak som, np. somsiad zamiast sąsiad. Ż i z nie robi u nich różnicy i mówią: zaba zyd zamiast żaba, żyd. Najgorzej zepsuta jest wymowa głoski ł, która po większej części, zwłaszcza na początku, brzmi jak u, np. uława, ułaskawy zamiast ława, łaskawy, we środku wyrazu wymawiają jak l, np. cialo, cale, a często zupełnie wypuszczają, jak np. barog, zozuje zamiast barłog, zołzuje. Co się tyczy form gramatykalnych, napotyka się tu wiele archaizmów, a język starożytny polski jest dla ludu najzrozumialszy i tak np. dwie oce, dwie nodze, dwie lecie, dwie słowie, pójdźma, dajma, poślijma. Bez i przez nie rozróżniają wcale równie jak w Polsce. Przy imionach liczbowych kładą zwykle mniejszą przed większą, np. dwa dwadzieścia. Lud między sobą mówi przez ty, wy, do osób wyższych mówi przez trzecią osobę liczby mnogiej, np. co oni chcą? zamiast: co pan chce? Dzieci o rodzicach mówią w trzeciej osobie l. m.: ojciec śpią, matka nie byli doma. Pozdrawiają się pospolicie słowami: dobry dzień, szczęść Boże, pomóż Boże, odpowiedź: Panie Boże zapłać, ostańcie z Panem Bogiem, Idźcie z Panem Bogiem.

Te i wiele innych przytoczyć się dających uwag okazują, iż zepsucie tutejszego narzecza nie jest tak wielkie, jak się wydaje i byłoby mniejsze, gdyby mowa więcej była uprawianą. Dla tej przyczyny zganić mi wypada księży tutejszych, którzy prawiąc z ambon, zamiast używać języka czysto polskiego, używają tutejszego narzecza. Tu jest bowiem najlepsza sposobność i najwłaściwsze miejsce, aby okazać ludowi piękny ojczysty język w powabnej, czarującej postaci, a tym sposobem przyzwyczaić go do lepszych wyrażeń, bo kościół jest jeszcze jedyne miejsce, gdzie wieśniak słyszy język polski.

Gdzież zresztą nauczy się po polsku?

W szkołach uczą go nauczyciele Niemcy, których umyślnie w strony polskie posyłano, aby im wydrzeć jedyną spuściznę po matce ojczyźnie. Dopiero teraz poznano się na bezużyteczności i niestosowności takiego postępowania i przeznaczono w szkołach i seminarium nauczycielskim po parę godzin dla języka polskiego, a i książki polskie napotkasz po szkołach i nie umiejących języka niemieckiego obowiązani są nauczyciele objaśniać przedmiot w języku polskim.

Są to więc dopiero zarodki gruntownej znajomości języka, lecz o literaturze mowy być nie może.

Czasem tylko w Brzegu lub Głogowie wyjdzie po polsku książka do nabożeństwa lub też pieśni pobożne albo elementarz. Z pism periodycznych wychodzi w Kempnie miesięcznik p. n. „Przyjaciel ludu katolickiego" — i oto cała literatura polska.

Za to w Galicji macie tam pisemka dla ludu jak „Dzwonek" i „Przyjaciel domowy" we Lwowie, wychodzą nakładem Księgarni Katolickiej (W. Wielogłowskiego) w Krakowie także książki dla wieśniaków. Warto, aby się kto postarał o rozpowszechnienie takowych pomiędzy poczciwy lud na Szląsku, który więcej oświeceńszy i zamożniejszy od ludu galicyjskiego, jest pochopniejszy do czytania i kupiłby niejedną książkę, gdyby miał po temu sposobność. Wielką by w narodzie poniósł tą zasługę, coby się zakrzątnął około uprawy języka polskiego, tak w Szląsku pruskim, ba, i w austriackim, bo „Gwiazdka" cieszyńska coraz przestaje być pismem ludowym. Takie posłannictwo najwłaściwsze byłoby dla księży, bo z nimi lud ten obcuje i w nich zupełne pokłada zaufanie.

Wprawdzie na Szląsku Dolnym są wieśniacy wyznania ewangelickiego, ale to wcale nie przeszkadza w rozpowszechnieniu pism ludowych. Gdzie niegdzie słyszeć się dają, ale już rzadko, pieśni ludowe, które za niezbite znamie polskiego żywiołu służyć powinny. Oto jedna piosenka podsłuchana w okolicach Oleśnicy:

We Wrocławiu pod mostami
Tańcowała z wojakami.
Przyszedł ojciec i stara mać:
Pójdź ty Marianko do dom spać!

Nie pójdę ja, idźcie sami.
Bo ja tańczę z wojakami.
A na łące białe kwiecie,
Kolebała ona dziecię.

Kolebała
I płakała:
Czego ja tu doczekała?
Rucha we dnie,
Rucha w nocy,
Aże się serce jej roztoczy.
Siądzie za stół, nie naje się,
Jest w komorze
Białe łoże,
Nie naśpi się.

Pokój w Falkensee

(Dokończenie ze str. 1)

się z zapachem przysmolonych sosnowych igieł. Mężczyźni leżeli na trawie. Grali w karty i rozmawiali. Kobiety zbierały ze sznurów bieliznę. Pożyczyłem linkę i wróciłem na polanę. Michel z Revesem przymocowali do masztu kawałek czerwonego płótna.

— Dobrze tak będzie, Paweł, no nie? — powiedział do mnie Michel, kiedy wsparci plecami o tyczkę, wolno zsuwaliśmy ją do dołu.

— No, dobrze! — przytaknąłem.

— Tyle narodów! Dla każdego szyć sztandar nie ma już czasu. Ten jest wszystkich, no nie Paweł?

— No tak — potwierdziłem, spluwając w dłonie i ostatecznie prosto osadzając tyczkę.

Dochodziła godzina dziewiąta. We wszystkich łożach i krzesłach porozsiadali się uczestnicy akademii. Grazziani i Piotr podchodzili kolejno do czterech stosów i podpalali je spryskanym benzyną chrustem. Wyprostowałem dłonie i poszedłem do ostatniego rzędu krzeseł, na tak zwaną galerię. Usiadłem na linii lasu na zwalonym pniaku i patrzyłem jak spóźnieni szukali miejsca. Żałowałem, że pozwoliłem ukraść sobie Tinę przystojnemu Czechowi. Wyjąłem z kieszeni papierosy i mocno ciągnęłem zdobycznego „Juno".

Księżyc wypłynął zza chmur. Polana oświetlona była żółtym, czerwonym i niebieskim światłem. Widziałem, jak przez arenę przeszedł Michel z Richterem i Tiną. Usiedli w największej, reprezentacyjnej loży. Płonące polana syczały i wyrzucały z siebie sypkie iskry. Włoscy akordeoniści zagrali „Międzynarodówkę"! — Wszyscy wstali ze swoich krzeseł. Po odśpiewaniu hymnu na środek areny wyszedł Michel. Mówił wysokim, świszczącym gołsem: Wojna, która pochłonęła tyle ofiar, skończyła się. Faszyzm został zmiażdżony. Po raz pierwszy obchodzimy radosne święto pokoju. Miliony ludzi na całym świecie co roku obchodzić je będą tańcami i śpiewem. Matki co roku wspominać będą morderców. Nasze córki i żony gwałcicieli, zwyrodnialców i zbrodniarzy. — Odprowadzany brawami podszedł do Tiny i wprowadził ją na arenę.

— Teraz będzie śpiewała Tina — powiedział Michel i wycofał się w ciemny krąg nocy.

Tina odrzuciła do tyłu włosy. Jedną ręką oparła się o maszt i wyrzuciła z siebie kilkanaście szybko po sobie następujących przekleństw włoskich. Rozumiałem tylko jedno, stale powtarzane słowo: faszysta. Podniecona pomrukiwaniem, śmiechem i okrzykami tłumu zaczęła śpiewać. Nie przypuszczałem, że w śpiewie ma tak nieprzyjemnie niski głos. Kiedy skończyła, Michel wrócił pomiędzy ogniska.

— Przyjaciele — powiedział do siedzących — teraz przemówi do was jeden z tych Niemców, którzy podobnie jak my gnili w obozach hitlerowskich. Przyjaciele, teraz przemówi towarzysz Richter.

Richter siedział w loży z głową opartą na dłoni. Pół twarzy miał oświetlonej przez księżyc, a pół przez ognie. Powoli wyprostował swoją wysoką chudą postać. Tina z Michelem schodzili na brzeg polanki. Richter stanął na cementowych płytach. Czerwony blask światła wyraźnie podkreślał ostre rysy jego twarzy.

Richter mówił spokojnie i zdecydowanie: Przyjaciele, dzisiaj witamy dzień radości, dzień narodzin pokoju. Służmy mu zawsze przeciwko wszystkim. — Ostatni jego wyraz zagłuszyła krótka, rechotliwa salwa z lasu zza moich pleców. Richter wolno pochylił się do ziemi.

Obejrzałem się. Przede mną stały wysokie, ciemne pnie o korze oświetlonej różowawym blaskiem i niebieskim światłem księżyca. Szybko i lekko wyjąłem z kieszeni latarkę i rzuciłem w głąb lasu długi, jasny snop. Usłyszałem wystraszony szelest, gwałtownie łamanych gałązek. Popędziłem za nim światłem.

Potykając się o korzenie drzew uciekał przed siebie jak zając, który chce wydostać się z objęć samochodowych reflektorów, zgarbiony łysy człowiek w długim czarnym pastorskim saku. Od ogniska oderwało się kilku mężczyzn i szybko przeskakując kępy zielonych krzaków, biegło za uciekającym. Jeden z nich przystanął na chwilę i podniósł z ziemi niemiecki empi. Kiedy krzyk złapanego człowieka zagłuszył gwar przy ogniskach, usłyszałem za sobą przestraszony, zdyszany głos kobiecy.

— Kto to strzelał? Kto chciał zabić Richtera?

— A czy zabił? — palce mi drżały i nie mogłem znaleźć kontaktu.

— Nie. Ranił go w lewe ramię. Poznałem głos Tiny.

— Pastor Kleiner, rezydent baronowej von Rosenberg — odpowiedziałem obojętnie gasząc latarkę, — pastor Kleiner po wojnie przegrał bitwę, Cyganeczko.

Jerzy Grygolunas

Drobiazgi mickiewiczowskie

Nieokrzesany wieszcz nadniemeński

Głośny powieściopsiarz Henryk Rzewuski, autor „Pamiątek „Stolicy" i „Listopada" był jak wiadomo, w bliskich stosunkach z Mickiewiczem, z którym razem odbył podróż na Krym, spotykając się później w Rzymie i w Paryżu. Z kilku skąpych zresztą wypowiedzi jego o Mickiewiczu mniej znana jest uwaga zawarta w przypisku do powieści: „Adam Śmigielski", wydanej w r. 1851. Pochodzi ona z czasów, kiedy carska cenzura tępiła w druku nazwisko poety a brzmi jak następuje:

„Roku 1830 miałem jedną rozmowę z wieszczem nadniemeńskim w Rzymie. Tejbym nie śmiał objawić, bo nikt, zwłaszcza w wieku racjonalizmu, moim słowom nie uwierzyłby. Wszakże ów wieszcz żyje i pewnie mu to nie wyszło z pamięci, jak księgę przyszłości otworzył przed mojemi oczami. Porywnywając to co mi powiedział z tem co się później stało, pojmuję dlaczego odległa starożytność zbliżona do ery natchnień i pierwszorzędnych objawień, dała prawdziwym poetom nazwisko vates." (Cytat według wydania warszawskiego z r. 1875, str. 66.)

Na wieść o śmierci Mickiewicza w r. 1855 tenże Rzewuski, zapytany w Paryżu w salonie swej siostry Sobańskiej, co myśli „szczerze i rzetelnie" o Mickiewiczu, odpowiedział:

„Można mieć o nim różne zdania, ale niezaprzeczenie banalnym nigdy nie był, nawet wtenczas, kiedy szalał. A siostra Rzewuskiego rzekła mi pocichu:

— Tak, był to wielki poeta, ale jakże źle wychowany, jak nieokrzesany!" (Falkowski J.: Wspomnienia, Poznań, str. 179.)

Wybrał, przepisał i opisał T. S.

CHOPIN U SĄSIADÓW

Wydział Prasowy Polskiej Misji Politycznej w Wiedniu zorganizował z okazji setnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina Wystawę Chopinowską. „Wystawę tę należy uznać za niezwykle udaną" — pisze na ten temat prasa wiedeńska.

CZECHOSŁOWACJA

VACLAV VANIEK

SERDECZNE OGNIWO czesko-polskiej przyjaźni

Życie wielkiego polskiego kompozytora Fryderyka Franciszka Chopina, który zachował w całej swojej twórczości — mimo swej światowej kultury i wielu lat spędzonych z dala od ojczyzny — czysto polskie i słowiańskie pierwiastki, jest paroma epizodami związane z życiem Czechów, z ich kulturą i budzącym się ruchem narodowym. Przed stu laty, wiadomość o śmierci Chopina wywołała głęboki smutek wśród czeskich przyjaciół kompozytora, ponieważ Chopin, tak jak i wielki polski poeta Adam Mickiewicz, w czasie swego pobytu w Pradze, zdobył serca wielu przedstawicieli ówczesnego życia kulturalnego.

Pragę odwiedził Chopin pierwszy raz, licząc dziewiętnaście lat, przy powrocie z Wiednia. Było to w okresie kiedy skończył studia u Elsnera, a wkrótce po tym ukazały się jego pierwsze, wielkie kompozycje w warszawskim wydaniu Brzeziny w roku 1828. W tym to czasie Chopin nie był kimś nieznanym dla społeczeństwa czeskiego. Paryż i Wiedeń były oczarowane jego wirtuozowską grą, a powodzenie to znalazło oddźwięk we francuskiej i niemieckiej prasie, która wtedy była bardzo popularną w Pradze.

Drugi raz zatrzymał się Chopin na parę dni w Pradze w czasie swojej podróży z Wiednia do Drezna w roku 1829. W czasie swego pobytu uczestniczył w paru przyjęciach u ówczesnych patriotów czeskich, a nawet parę razy u archiwisty Vaclava Hanka.

W tym czasie Vaclav Hanka należał do znanych przedstawicieli życia słowiańskiego. Wprawdzie jego słowiaństwo służące carskiej Rosji było wybitnie reakcyjne. Tego oczywiście nie rozumieli, ani nie mogli zrozumieć jemu współcześni. U niego schodzili się wszyscy słowiańscy goście przyjeżdżający do Pragi. Z tych przyjęć u Hanka przechowało się wiele pamiątek, między innymi jego pamiętnik zawierający podpisy i dedykacje wszystkich sławniejszych gości. Jest tam również i dedykacja Chopina. Sam Chopin wspomina o tym w liście do rodziców z dnia 26 sierpnia 1829 roku:

„...Tak jak i inni goście musieliśmy u niego wpisać się do księgi, która podobno jest przeznaczona do praskiego muzeum, a na której panu Hance bardzo zależy. Jest tam już wiele podpisów, między innymi i Brodzińskiego i Morawskiego. Jeden z nich wpisał się wierszem, drugi prozą, Szwejkowski tam nawet zapisał swoje sławne przemówienie. Ale co w takim razie ma napisać muzyk? Na szczęście Maciejewski wpadł na świetny pomysł. Napisał cztery strofy mazurka. Ja dopisałem muzykę i ku wielkiemu zadowoleniu pana Hanka umieściliśmy to w jego księdze."

Chopin, który bardzo interesował się kwestią słowiańską, po swoim pobycie w Pradze jeszcze bardziej się tym problemem zajął. Często i mile wspominał o swojej w Pradze bytności i o swoich praskich przyjacielach.

W roku 1836 Chopin znowu przyjeżdża do Czech, by sławić w Mariańskich Łaźniach swoje zaręczyny z Marią Wodzińską. Był to — jak wynika z jego korespondencji — jeden z szczęśliwszych momentów w jego życiu. Ale już w roku następnym, 1837, lekarze stwierdzają u Chopina początki gruźlicy. Dwanaście lat zmaga się Chopin ze swoją chorobą, tworzy wielkie i nieśmiertelne dzieła, by wreszcie ulec strasznej niemocy. Umiera daleko od ojczyzny, w Paryżu.

O Chopinie się twierdziło, że żyje „zamknięty w swoim szklanym kole samotności".

Ale samotność ta była następstwem wielkiego nieporozumienia, z jakim przyjmowali twórczość Chopina jego ziomkowie. Przecież nawet Mickiewicz nie doceniał w pełni jego dzieła i żądał by Chopin napisał polską narodową operę. Nie rozumiał polskich i słowiańskich motywów w dziełach Chopina, nie rozumiał, że Chopin w muzyce swej przynosi najszlachetniejsze i najwspanialsze skarby swej ziemi, nie rozumiał czym był i czym jest Chopin dla Polski.

Duszę wielkiego kompozytora mógł zrozumieć najlepiej tylko muzyk. I takiego prawdziwego i serdecznego przyjaciela znalazł Chopin w czeskim skrzypku Józefie Slaviku.

Jak twierdzili ówcześni znawcy, Slavik swoją grą i opanowaniem instrumentu przewyższał nawet słynnego Paganiniego.

Chopin zaraz po pierwszym spotkaniu ze Slavikiem pisał swojej rodzinie:

„Bardzo się mi podoba. Kiedyśmy razem wracali od Würffla, zapytał mnie czy idę do domu. Zaproponowałem byśmy wstąpili do jego krajanki, pani Bayerowej..."

U Bayerów, gdzie Slavik grał na skrzypkach wiele trudnych kompozycji, jeszcze bardziej zacieśniło się uczucie przyjaźni i wzajemnego zrozumienia obu muzyków. W następstwie czego Chopin pisał w jednym ze swoich listów:

„Nikogo, prócz Paganiniego, nie podziwiam tak jak Slavika..."

Parokrotne spotkania. Parę duetów — to wystarczyło, by przyjaźń ich była prawdziwą. Zamyślali nawet wspólnie napisać duet na skrzypce i fortepian. W roku 1830 pisze Chopin z Wiednia do swego przyjaciela Jana Matuszyńskiego:

„...akurat wróciłem od Slavika, słynnego skrzypka, z którym jesteśmy wielcy przyjaciele. Po Paganinim nie słyszałem jeszcze takiego wykonania. Jest to wprost nie do wiary, że Slavik za jednym pociągnięciem smyczka dojdzie aż do 96 nut staccata. Postanowiłem po wizycie u niego, że jak wrócę do domu, będę ze smutkiem wspominać i na fortepianie wypłaczę Adagio na wszystkie możliwe wariacje Beethovena, które wspólnie ze Slavikiem piszemy..."

Od tej pory przyjaźń między obu muzykami stale wzrastała. O ile do tej pory Chopin uważał Slavika za najlepszego skrzypka po Paganinim, to w jakiś czas później tak pisze do rodziców:

„...W środę zasiedzieliśmy się ze Slavikiem u Bayerów aż do godziny drugiej w nocy. Slavik grał jak Paganini, ale jak odmłodzony Paganini, który przewyższa pierwszego. Nie wierzyłbym w to, gdybym go tak często nie słyszał. Potrafi tak oczarować, że słucha się go z zapartym tchem, wzruszy człowieka do łez. Jeszcze więcej: wzruszyłby do łez i tygrysy..."

Przyjaźń Chopina ze Slavikiem jest jednym z najpiękniejszych dowodów przyjaźni wielkich twórców i ludzi. I chociaż później przyjaźń ta przygasła, to jednak ten maleńki rozdział z życia wielkiego polskiego kompozytora jest serdecznym ogniwem czesko-polskiej przyjaźni, zbudowanej na tradycyjnych, słowiańskich fundamentach.

VACLAV VANIEK.

ZWIĄZEK RADZIECKI

W. HORODYŃSKI

LUDZIE RADZIECCY CZCZĄ PAMIĘĆ WIELKIEGO POLSKIEGO KOMPOZYTORA

Minęło sto lat od śmierci Fryderyka Chopina, największego polskiego kompozytora i pianisty, który położył podwaliny pod nową muzykę polską, jednego z tych wielkich artystów, którzy wcielają w sobie twórczy geniusz całych generacji. Na parę miesięcy przed śmiercią, wiosną 1849 roku Chopin napisał swe ostatnie dzieło — mazurek f-mol op. 68. Tak już ciężko był chory, że nie mógł go sam zagrać. W zachwycie, wstrząśnięci do głębi duszy, wsłuchujemy się w dźwięki tego łabędziego śpiewu genialnego kompozytora. Chopin skończył swój żywot twórcy tym, czym go rozpoczął, — polską pieśnią. Nie usłyszymy w tej ostatniej pieśni ani jednego jęku, ani jednego łkającego dźwięku, — to smutek wielkiego człowieka, rozstającego się z życiem i rzucającego ostatnie spojrzenie na to, co było dlań droższe od samego życia. Romantyczne szkoły niedawnej przeszłości i współczesne dekadenckie prądy tworzyły „swego własnego" Chopina. Na przestrzeni prawie stulecia w zachodnioeuropejskiej naukowo-muzycznej i krytyczno-biograficznej literaturze trwało współzawodnictwo mistyfikacji, w tworzeniu potężnych, ale pustych mitów o Chopinie. Od „poetycznie porywającej, a jednak krótkowzrocznej" (według wyrażenia B. W. Asafjewa) książki o Chopinie pióra Franciszka Liszta, który był pierwszym biografem polskiego kompozytora, do romantycznych „sylwetek" francuskiego pisarza Antoniego Mormontel'a pozostawał jeden krok. I krok ten zrobił Marmontel w swoich „Znakomitych pianistach", twierdząc, że Chopin był „romantykiem krańcowo wrażliwym, jego wyobraźnia wiodła w krąg życia pozagrobowego z bladymi widmami". W których utworach Chopina Marmontel odkrył „świat pozagrobowy z bladymi widmami" — nie wiadomo. To była jednak z pierwszych prób opracowania Chopina w duchu tego samego romantyzmu, którego świat, według słów Bielińskiego, jest „obcy wszelkiej rzeczywistości", zamieszkały przez cienie i widma. Zachodnioeuropejscy muzykolodzy w tym kierunku kontynuowali pracę aż do naszych czasów, dążąc przede wszystkim do zdeprecjonowania znaczenia narodowo-polskiego elementu w twórczości Chopina przypisując jego twórczości pozanarodowy, kosmopolityczny charakter. Ale Chopin jest wielkim narodowym artystą i właśnie dlatego należy do całej ludzkości.

U podstawy całej twórczości Chopina leży narodowo-polska muzyka pieśni i tańca, i on podniósł ją na poziom zaiste nieosiągalny. Polskie mazurki, kujawiaki, oberki, ludowe tańce z ich kapryśnymi rytmami, ceremonialne marsze, polonezy, nieskończone bogactwo liryki w pieśni, cudowny wdzięk nagrań instrumentalnych wiejskich zespołów i nieznanych wirtuozów na fujarce i skrzypcach, — wszystkie skarby polskiej poezji muzycznej, rozwijającej się w ciągu szeregu stuleci, stały się materiałem dla jego twórczości. Zdumiewający, oślepiający blask poetyckiej fantazji Chopina, niewyczerpany potok nieustannie odnawiających się melodii, finezja i wyrazista siła harmonijnych kombinacji, — wszystko, co w naszych czasach nie przestaje zachwycać znawców muzyki całego świata, wszystko to wywodzi się z polskiej ludowej twórczości.

Wybitny rosyjski krytyk muzyczny W. W. Stasow rozbił mit o kosmopolityczności geniuszu Chopina, dowiódłszy, że Chopin jako człowiek i jako artysta ukształtował swą duszę w oparciu o polskie narodowe elementy.

Szereg utworów według tradycyjnej interpretacji i w Rosji i w Polsce jest muzycznym odzwierciadleniem wydarzeń lat 1830—1831 polskiego powstania (w tej liczbie wspaniała etiuda „rewolucyjna" Nr 12).

Chopin staje się także twórcą wielkich arcydzieł dramatycznej muzyki. Wystarczy wspomnieć o nieśmiertelnej drugiej fortepianowej sonacie z jej, według wyrażenia Stasowa, „słynnym w całym świecie marszem pogrzebowym, wyraźnie przedstawiającym marsz całego narodu, przybitego cierpieniem, przy tragicznych dźwiękach dzwonów". Albo o pierwszej balladzie, napisanej pod wpływem „Konrada Wallenroda" Mickiewicza i nie ustępującej w dramatycznej wyrazistości swojemu literackiemu prawzorowi.

Mazurki swoje słusznie Chopin nazywał „obrazkami", obrazkami polskiego narodowego życia. A przecież wiele mazurków napisał Chopin zdala od polskiej ziemi — we Francji, a nawet i na Majorce.

Lepsi przedstawiciele polskiej inteligencji, przyjaciele Chopina, odjeżdżającemu za granicę kompozytorowi, skąd nie było mu sądzone wrócić, ofiarowali srebrny kubek, napełniony polską ziemią, i powiedzieli: „Gdziekolwiek będziesz, nie zapominaj o swej ojczyźnie." Wielki artysta rozpłakał się, przyjmując ten drogocenny dar, i święcie przechował go do tego dnia, kiedy garść ojczystej ziemi ze srebrnego kubka zmieszała się z francuską ziemią na paryskim cmentarzu Père-Lachaise...

Chopin nie zamierzał na zawsze opuszczać Polski. Jego podróż do Paryża z początku była pomyślana jako podróż w celach naukowych; Paryż owych czasów był ogólnoeuropejskim centrum i ośrodkiem kultury muzycznej. Tu mieszkali ówcześni znakomici zachodnioeuropejscy muzycy, pisarze i artyści: Rossini, Berlioz, Ober, Bellini, tu się też osiedlił Henryk Heine, tutaj dość długo gościł Franciszek Liszt i wielu innych.

Polska mowa muzyczna jest całkowicie zrozumiała dla rosyjskich muzyków i słuchaczy ze względu na słowiańskie pokrewieństwo obu języków muzycznych, a także dlatego, że muzyczne związki rosyjskiej i polskiej kultury sięgają XVI wieku i stają się w pełnym tego słowa znaczeniu tradycyjnymi tak dla Rosji jak i dla Polski. Nie jest rzeczą przypadku, że najpotężniejszą tradycją interpretacji Chopina stała się rosyjska tradycja, stworzona przez wielkich rosyjskich pianistów Bałakirewa i Rubinsztejna, wzbogacona nową ideową treścią dzięki zaiste wspaniałemu rozwojowi pianistyki w erze radzieckiej.

Bliższe ideowe pokrewieństwo łączy twórczość Chopina z twórczością wielkich muzyków rosyjskiej szkoły realistycznej. Często zestawia się w literaturze twórczość Glinki z twórczością Chopina, pomimo, że Chopin pisał prawie wyłącznie na fortepian, a Glinka był wielkim kompozytorem operowym i symfonicznym. Tym nie mniej Glinka i Chopin są największymi słowiańskimi kompozytorami. Obaj byli reformatorami i położyli podwaliny pod nową kulturę muzyczną swych narodów, obaj byli wielkimi patriotami, walczącymi o sprawę narodową przy pomocy sztuki, obaj czerpali natchnienie z twórczości ludu, obaj byli wrogami pozbawionego wszelkich podstaw kosmopolityzmu w sztuce i obaj wysoko podnieśli sztandar muzyki narodowej.

Listy Chopina ujawniają niewątpliwą prawdę, że artysta, przebywający prawie stale w otoczeniu francuskiej i polskiej arystokracji, w pełni zachował swoją dumną demokratyczną niezależność. W listach z Anglii z 1848 roku już śmiertelnie chory złośliwie wyśmiewa brytyjski snobizm, angielską hipokryzję, przejawiającą się nawet w sztuce. „Oni (angielska arystokracja i burżuazja — przyp. W. H.) wszystko oceniają na funty, sztukę lubią tylko dlatego, że to zbytek". — pisze Chopin, dodając, że „dla klasy mieszczańskiej potrzeba czegoś mechanicznego, do czego nie jestem zdolny".

Ludzie radzieccy czczą pamięć wielkiego polskiego kompozytora i teraz w sto lat po jego śmierci, boleją nad tym, że tak krótko żył i że jego krótkie życie pełne było cierpień. Genialny artysta w swej twórczości wcielił ideały polskiego narodu i przepowiedział mu szczęście i wolność. Na rok przed śmiercią Chopin pisał: „Koniec końców będzie Polska wspaniała, potężna, słowem Polska".

W. Horodyński.

PRZYJACIEL

Imię Chopina należy do tych wielkich imion przeszłości, które żyją w naszym sercu i w naszej świadomości nie jak pamięć o kimś drogim, który przeminął, a jak imię dzisiejsze, wiecznie żywe. Chopin jest nam drogi dlatego, że swą muzyką wchodzi w otaczającą nas atmosferę artystyczną, jak współczesny, bliski, zrozumiały i kochany przyjaciel.

Wśród kompozytorów przeszłości są geniusze, których głęboko cenimy, bezgranicznie szanujemy, a nawet bałwochwalczo czcimy.

Ale powiedzieć o Chopinie, że go cenimy, szanujemy i czcimy, to mało. Kochamy go szczególną przyjacielską miłością.

Właśnie taki był stosunek do Chopina rosyjskich muzyków przeszłości, — o czym świadczą ich wypowiedzi i szereg utworów, poświęconych Chopinowi albo owianych jego muzyką. Taki sam jest stosunek muzyków ra-

Bez przesady można powiedzieckich do genialnego kompozytora polskiego.

dzieć, że przez najszersze masy słuchaczy Związku Radzieckiego Chopin jest chyba najbardziej lubianym ze wszystkich nierosyjskich kompozytorów.

Przyczyn takiego stosunku narodu radzieckiego i muzyków radzieckich do Chopina jest wiele. Pierwsza kryje się w słowiańskiej duszy Chopina, którą zachował taką, pomimo długich lat życia z dala od kraju. Wyraża się ona we wszystkim: i w szlachetnej powściągliwości muzyki, i w osobliwej poetyczności jej obrazów, a przede wszystkim w czarującej melodyjności, właśnie tej czysto słowiańskiej melodyjności, która nam jest tak droga i o której zwykliśmy mówić: „To dusza śpiewa!"

Druga tkwi w jego wysokim humaniźmie, w jego bezgranicznej miłości do ojczyzny, w rewolucyjności jego dążeń, które nie gasły w nim do końca jego życia.

Wreszcie bliski i kochany jest Chopin i dlatego, że w muzyce jego widzą radzieccy ludzie zbliżenie się do tego estetycznego ideału, który wiódł do wysokiego poziomu sztuki wielkich rosyjskich kompozytorów - klasyków i do którego teraz my dążymy. To połączenie głębokiej ideowości z narodowością i realizmem, połączenie bogatej, pełnej i błyszczącej formy z pełną dostępnością, połączenie wyostrzonego mistrzostwa z prostotą artystycznego wyrazu.

Kiedy muzycy radzieccy mówią o konieczności uczenia się u wielkich mistrzów przeszłości, to razem z Glinką i Dargomyżskim, Czajkowskim i Rimskim-Korsakowem i Musorgskim, łączą imię wielkiego polskiego kompozytora.

Dm Kabalewski

Spośród organizatorów wiedeńskiej Wystawy Chopinowskiej wymienia prasa tamtejsza na pierwszym miejscu nazwisko kierownika artystycznego wystawy grafika śląskiego, Ottona Swobody.

NIEMCY

KARL SCHOENEWOLF

MY NIEMCY mamy szczególnie dużo do odrobienia wobec najznakomitszego kompozytora polskiego

Najważniejszym czynem Chopina było to, że kopciuszka polskiej muzyki ludowej zamienił w księżniczkę. Chciał on bogatym polskim arystokratom, którzy wówczas mówili po francusku, śpiewali po włosku, koncertowali po niemiecku a na poddany, wyzyskiwany lud ledwie łaskawie raczyli spoglądać — udowodnić, że owa miła, płomienna, trochę nieokrzesana dziewczyna wiejska, może pięknością i elegancją zmierzyć się z każdą dystyngowaną damą, ba, a gdyby dopiero strój miał stanowić o wartości ludzi, to ona przewyższa je wszystkie jeszcze cnotą.

Sam ten fakt nie oznacza jeszcze, że ustroił on owo wiejskie dziecko w błyszczące kolorytury Jenny Lind, w diabelskie pasaże Paganiniego i w brylantowe blaski Franciszka Liszta, w te wszystkie wspaniałe ozdoby, które w salach koncertowych obu półkul olśniewały świat. Słyszał on gwałtowną muzykę ludu polskiego, tego ludu, który tak długo znosił ucisk, który w smutku i radości tańczył przed chatami zaścielającymi mazowiecką równinę i śpiewał o świetności i rycerskości Sobieskiego i przetopił ją w ogniu swoich uczuć w kosztowne miniatury. Było to tak, jak gdyby tkwiąca w ludzie polskim siła potrzebowała stuleci na to, ażeby wydawać swego Pygmaliona, który wprawdzie nie musiał obudzić do życia posągu, ale jego życie przemienił w dzieło sztuki.

Dzieło to, które podczas poczętego w radości, a potem coraz ciemniejszymi cieniami przesłoniętego, zaledwie 39 lat trwającego żywota organicznie rosło, obejmowało 85 utworów, wyłącznie fortepianowych albo conajmniej takich, które z tym instrumentem jego niewyczerpanej fantazji pozostały związane. Nikt przed tym nie wydobył z fortepianu takiego bogactwa orkiestralnych brzmień, subtelnych nastrojowych odcieni i melodyjnej śpiewności.

Już pierwsze dzieło szesnastoletniego pianisty (Rondeau, op. 1) nosi wszystkie znamiona odrębności Chopina. Utwór, a tym samym dzieło życia Chopina, rozpoczyna cichym uderzeniem bębna czterotonowy, synkopowany temat kwartowy jak apel do ludzkości: Uważajcie, oto przychodzi mój naród! Chopin zaskakuje w utworze śmiałością, na którą sobie nikt ze współczesnych nie pozwolił. Już tutaj wychodzi cały Chopin, któremu jeszcze tylko brak dojrzałości i doświadczenia życiowego.

Pod tym względem różni on się od wszystkich innych muzyków Słowiańszczyzny, którzy muzyce swego narodu dawali wyraz w ukształtowaniu artystycznym. Jest on pierwszym, wielkim, narodowym kompozytorem słowiańskich narodów. Sześć lat starszy Glinka, wielki muzyk rosyjski, musiał odbyć o wiele dłuższą drogę poprzez Włochy i Niemcy, aż dopiero znalazł w folklorze źródło dla swojej twórczości (zachęcony przez swego berlińskiego nauczyciela Dehna). Także tzw. „można gwardia" młodych Rosjan oraz Czesi Smetana i Dworzak wystąpili na widownię długo po przedwczesnej śmierci Chopina.

Postępowy romantyk niemiecki, Robert Schumann, który charakterem swojej muzyki był duchowo bliski młodemu polskiemu przyjacielowi (podobnie jak później młodemu Brahmsowi), przedstawił go Niemcom wypowiadając te prorocze słowa: „Pokłońcie się, panowie, to geniusz!" Natychmiast rozpoznał także polityczne znaczenie tego „rozmarzonego wieszcza przy fortepianie", jak go nazywał. Powołując się na rewolucję w krajach europejskich, która potem także wywołała warszawski ruch wolnościowy, pisał on o tym patriocie, który miał szczęście w swoim ojcu-Francuzie i w swojej matce-Polce posiadać pełnych zrozumienia dla sztuki i człowieczeństwa rodziców: „Tak więc stał on, wyposażony w głębokie zrozumienie swojej sztuki, w świadomości swojej siły po uszy uzbrojony w odwagę, gdy w roku 1830 podniósł się wielki głos narodów na zachodzie. Setki młodych ludzi czekały na tę chwilę: ale Chopin był jako jeden z pierwszych na wale, za którym leżała we śnie tchórzliwa restauracja, karla filisteria."

Schumann miał oczywiście na myśli duchową siłę Chopina. Wiedział on dobrze, że chorowity i słabowity młodzian nie potrafił z bronią w ręku walczyć u boku powstańców, jakkolwiek było to jego najgorętsze życzenie, gdy we Wiedniu musiał swojemu młodzieńczemu przyjacielowi pozwolić samemu wyruszyć do buntowniczej Warszawy. Kiedy dwudziestoletni artysta, który z takim trudem rozstał się ze swoją ojczyzną, otrzymał w Stuttgarcie podczas swej podróży do Paryża wiadomość o klęsce polskich bojowników o wolność, cały swój ból przelał w szaleńcze tempo etiudy c-mol (op. 10, nr 12), która otrzymała nazwę „etiudy rewolucyjnej".

Wkład Chopina w walkę o wyzwolenie Polski stanowiły jego kompozycje fortepianowe. Niemiecki romantyk sławi Geniusza, że „zaraz uprowadził Chopina do jednej ze światowych stolic, gdzie mógł swobodnie tworzyć i buntować się". Pisząc o carze wyraził Schumann równocześnie pochwałę koncertu f-mol: „Gdyby ów potężny, samowładny monarcha na północy wiedział, jaki niebezpieczny wróg zagraża mu w dziełach Chopina, w prostych melodiach jego mazurków, byłby zakazał tej muzyki. Dzieła Chopina są ukrytymi pod kwiatami armatami." Inny gorszy tyran miał później zakazać dzieł Chopina a nadto zburzyć jego warszawski pomnik: Hitler. Dlatego my, Niemcy, mamy szczególnie dużo do odrobienia wobec najznakomitszego kompozytora polskiego.

„Ukryte pod kwiatami armaty" Chopina są oczywiście bronią pokojową. Wrażliwy artysta, który czuł wstręt do głośnego towarzystwa i chciał „ludziom ofiarować wszystko", był jednym z najżarliwszych i najczulszych piewców humanizmu, był więcej namiętnym zwiastunem aniżeli bojownikiem. Jeżeli Schumann nadaje mu miano „najśmielszego i najdumniejszego wieszcza swego czasu, to w sensie antycznego „poeta et vates". Wieszczy duch dał utworom Chopina tę siłę, która zapewniła im wieczną młodość.

Karl Schönewolf.

GRZEGORZ KISLIAKOW

Napisał WADIM KOŻEWNIKOW

Nocą*) wylądowali tutaj na czarnych, kwadratowych spadochronach.

Na futrzanych kombinezonach nosili białe z materiału. Na głowy narzucone mieli białe kaptury, ściągnięte na czole sznurkami, jak u Beduinów.

Białe kapce, białe rękawiczki. Tylko opalone twarze odcinały się orzechowymi plamami od białego pola śnieżnego.

Zakopawszy w śniegu spadochrony, Kisliakow, ogromny, barczysty, ponury mężczyzna, wskazał na worek z żywnością i powiedział:

— Może posilimy się, Surin, po co wlec ze sobą taki ciężar?

Surin, maleńki, ruchliwy, z ciemnymi oczyma, odpowiedział łagodnie:

— Ty, Grisza, jeszcze i mój worek poniesiesz. Jesteś silny.

Kisliakow westchnął melancholijnie i, bez trudności władowawszy sobie worki na plecy, poszedł w ślad za Surinem, głęboko zapadając się w śnieg.

Zadanie Surina polegało na zaminowaniu drogi, po której cofały się oddziały niemieckie, a Kisliakow miał zniszczyć transport paliwa.

O świcie znaleźli się w tym miejscu szosy, w którym odchodziła od niej w bok droga. Szosę zagradzały pale, do których były przybite deseczki z niemieckimi napisami: „Ostrożnie, miny-"

Surin przeczytał napis i po namyśle rozkazał Kisliakowowi:

— Grisza, wyciągaj słupy, prędko!

Kisliakow zaczął posłusznie wyrywać słupy ze skamieniałego gruntu i układać je w stos.

Później Surin kazał mu wbić te słupy z napisami na drodze bocznej. Kisliakow wykonał to. Już w lesie obojętnie zapytał:

— Po co ty to zrobiłeś, Surin? Dla śmiechu?

— Grisza, — ze smutkiem powiedział Surin — dlaczego ty jesteś taki ograniczony?

— Różni bywają ludzie — szczerze wyznał Kisliakow.

Surin powiedział:

— Więc słuchaj, dziecko. Jak głosi napis, szosa jest zaminowana?

— Zaminowana — zgodził się Kisliakow.

— A boczna droga?

— Droga nie jest zaminowana — pokornie powtórzył Kisliakow.

— Od zmiany miejsca napisu zmieni się sytuacja?

Kisliakow zamyślił się i powiedział ze złością:

— Rozumiem. Z tobą lepiej nie grać w warcaby, bo ocyganisz.

— A ty jak myślałeś! — z dumą potwierdził Surin.

Pożegnawszy się z Surinem, Kisliakow odszedł dalej na zachód. Surin został w lesie, żeby obserwować skutki swego pomysłu z pułapką minową.

W nocy od strony szosy rozległ się szereg głośnych wybuchów i czerwone słupy płomieni podniosły się w górę.

Surin wypełzł z jamy, którą wykopali w wąwozie. Podskoczył, żeby się rozgrzać, nadstawił ucha i znowu wlazł do swojej nory.

...Następnego dnia, pod wieczór, zjawił się Kisliakow. Surin, patrząc na okrwawioną twarz Kisliakowa, zapytał z trwogą:

— Nie bardzo zranili?

— Nie-e — powiedział Kisliakow. — Chce mi się jeść.

Jedząc, Kisliakow opowiedział:

— No, szedłem i szedłem. Patrzę — jedzie motocyklista. Wyszedłem na drogę, podniosłem rękę. Zatrzymał się. Wsiadłem zamiast niego na motocykl i pojechałem. Zobaczyłem cysterny, osiem sztuk szło. No, ja karabin maszynowy na prawo, granaty za pas. Gazu. I po kolumnie, w biegu, z karabinu maszynowego. A granaty — pod maszyny. Tak wytrzebiłem.

— A gdzie ranili?

— Nigdzie. To ja sam. Zobaczyłem — troje maszeruje po szosie. No, ja na nich z rozmachu.

Później znowu szli lasem.

Surin, wymachując rękoma, mówił:

— Dlaczego ty, Grzegorzu, jesteś taki ciężko kapujący? Właszisz na rożen — i już.

Kisliakow ponuro słuchał go, a później powiedział:

— Te strony, gdzie Niemcy teraz są — to moje ojczyste strony.

— No i co?

— A to, że ja teraz sprytem zajmować się nie mogę. O tym i komendant wie.

Dalej szli w milczeniu. Białe drzewa rzucały na biały śnieg lekkie, błękitnawe cienie. I powietrze dźwięczało od kroków, jak ogromny, szklany dzwon.

Kiedy zatrzymali się, żeby zapalić, Kisliakow niespodziewanie grubym głosem powiedział:

— Tydzień temu ja tutaj na zwiady skakałem. Zebrałem bardzo cenne informacje. Z powrotem przedostawałem się przez cały czas na brzuchu. I oto do wąwozu, przez cmentarz, gdzie odpoczywałem, Niemcy człowieka poprowadzili. Nie zastrzelili go. Oni mu z początku kolbami ręce i nogi łamali. A ja siedziałem w zaroślach i patrzałem. Nie miałem prawa ujawnić się. Informacje są cenniejsze od życia nas obydwóch, mojego i mojego tatki.

— Więc to był twój ojciec? — z przerażeniem spytał Surin.

— Dzielny staruszek był. Dopóki oni, znaczy się, obrabiali go, on ich ciągle, jak Taras Bulba, opieprzał.

Surin, mrugając i z żalem łapiąc Kisliakowa za ręce, prosił w podnieceniu:

—Grisza, wybacz, że ja ciebie tak... Zrozum...

— Rozumiem, — poważnie odpowiedział Kisliakow — zwiadowca musi kapować. A ja teraz tak jakbym nie stał na wysokości zadania.

Wzruszywszy ramionami, poprawił automat na rzemieniu, z trudem uśmiechnął się i powiedział:

— No, idziemy, co? Spraw do załatwienia jeszcze dość mamy.

I teraz Surin szedł w ślad za szeroko kroczącym Kisliakowem. Szedł po jego głębokich śladach w śniegu i wciąż myślał, jakie czułe słowo pocieszenia można powiedzieć temu, tak dumnie znoszącemu ból, człowiekowi.

1941.

Przełożył z rosyjskiego
WIKTOR WOROSZYLSKI.

*) Ze zbioru opowiadań W. Kożewnikowa, który ukaże się nakładem „Prasy Wojskowej".

Ślepcy!

Rys. Stefan Balicki.

W POZNANIU

Osiągnięcia Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych na tle Międzyszkolnych Popisów Państwowych Wyższych Szkół Artystycznych w Poznaniu.

Po raz pierwszy historia naszego szkolnictwa artystycznego jest świadkiem tak imponującej i ze wszech miar pożytecznej imprezy, jaką były zakończone niedawno Międzyszkolne Popisy Państwowych Wyższych Szkół Artystycznych w Poznaniu.

Do niedawna jeszcze sztuka w Polsce wegetowała na marginesie życia i interesów społecznych, co w konsekwencji doprowadziło do głębokiego rozdźwięku między artystą i ogółem konsumentów dzieł sztuki. W wytężonej walce naszej epoki o pokój, o wolność narodów i człowieka nie może mieć miejsca żadne społecznie nieprzydatne zjawisko. Sztuce współczesnej nie wolno stanąć poza orbitą tych walk i poza olbrzymim wysiłkiem całego społeczeństwa w dziele odbudowy gospodarczej i kulturalnej naszego kraju. Te postulaty uwzględni w całej rozciągłości zreformowany program szkolnictwa artystycznego.

Najbardziej urozmaiconą i dostępną imprezą festiwalu artystycznego w Poznaniu była wystawa plastyków, rozmieszczona w kilku obszernych pawilonach. Przewijały się przez nie w ciągu dwutygodniowego trwania wystawy tysięczne tłumy młodzieży i szerokich mas społeczeństwa z całego kraju. Osiem Wyższych Szkół Sztuk Plastycznych pokazało nam rezultaty, osiągnięte dotychczas w malarstwie, rzeźbie, grafice i plastyce warsztatowej, nastawionej na współudział artysty w budowie kraju, oraz na współpracę z przemysłem i rzemiosłem. Poszczególne szkoły tego typu poza nauczaniem podstawowych przedmiotów sztuk plastycznych, t. j. rysunku, malarstwa i rzeźby, obejmują swym programem — zależnie od specjalnych dyspozycji gospodarczych, czy też etnograficznych danego terenu — poszczególne rodzaje sztuki, zwanej popularnie użytkową. N. p. szkoła w Łodzi kładzie nacisk na tkactwo, we Wrocławiu na ceramikę, w Sopocie na malarstwo ścienne, w Krakowie na grafikę artystyczną itd.

Ne tle osiągnięć wszystkich tych szkół bardzo korzystnie wyróżnia się Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Katowicach. Jeżeli się zważy, że szkole naszej brak odpowiednich pomieszczeń i dostatecznej ilości urządzeń, to rezultaty jej pracy przedstawiają się wręcz imponująco, zdobywając duże uznanie ze strony przedstawicieli władz rządowych i pochwały ze strony artystów — pedagogów innych szkół.

Katowicka Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych nastawiona jest na specjalizację w dziedzinie grafiki artystycznej i użytkowej z uwagi na wielką ilość doskonale wyposażonych drukarń na tutejszym terenie. Pokazane na festiwalu poznańskim w dziale grafiki artystycznej linorvty odznaczają się szlachetną prostotą i skromnością, konsekwentnie unikającą tanich efektów i powierzchownej ozdobności. Elementy tematyczne ściśle są podporządkowane artystycznej konstrukcji powierzchni obrazu. Dalsze techniki grafiki artystycznej, jak miedzioryt, akwaforta i litografia, reprezentowane są mniej licznie ze względu na początkową fazę nauki w tym kierunku. Widoczna w nich jest ta sama dyscyplina i umiejętność posługiwania się środkami technicznymi, co w linorycie.

Prace z zakresu grafiki użytkowej należą do najlepszych pod względem poziomu artystycznego na terenie całej wystawy. Plakaty odznaczają się dobrym rozmieszczeniem i układem płaszczyzn barwnych, oraz trafnie wydobytą pointą tematyczną. W ilustracjach do bajek Brzechwy łączy sie umiar artystycznego wyrazu z bujnością fantastyki świata dziecięcego. Bez zarzutu są też projekty na dwubarwne okładki książek i ilustracje do powieści, uwzględniające technikę drukową, odbitkową. Dużo artystyczne smaku wykazują wzory na tkaniny, w których efekty malarskie doskonale są dostosowane do praktycznych celów, jakim dany materiał ma służyć.

Ukazane tu rysunki świadczą o obiektywnym i szczerym stosunku do przedmiotu. Zaletą malarstwa jest staranne poszukiwanie koloru i formy, oraz dyscyplina w komponowaniu powierzchni obrazu. W rzeźbie podstawą poszukiwań jest bryła przy omijaniu naturalistycznych szczegółów przedmiotu.

Trudno wszakże byłoby znaleźć wśród wystawionych prac poszczególnych działów takie, które już dzisiaj świadczyłyby o jakiejś wybitnej i frapującej osobowości twórczej młodego artysty, lub nosiły cechy nowego stylu. Ale też nie o to w szkole chodzi. W katowickiej W. S. S. P. kładzie się wyraźny nacisk na realistyczne podejście do tematu, na szacunek dla przedmiotu, który nie jest pretekstem do formalistycznych spekulacji, lecz znakiem plastycznym, za pomocą którego artysta określa swoją realną, poznawczą postawę wobec otaczających go zjawisk. Tematyka pokazanych prac nie jest obca bezpośredniemu przeżyciu, czy obserwacji studentów katowickiej szkoły, pochodzących w większości ze sfer robotniczych i chłopskich. Praca górnika i hutnika, rzemieślnika i rolnika, pejzaż śląski, pełen śladów tej pracy — oto motywy, na których podstawie młodzież uczy się formułowania bliskiej jej treści wewnętrznej poprawnym językiem plastycznym. Tym zbliżaniem młodych adeptów plastyki do zjawisk i zagadnień współczesnego życia katowicka W. S. S. P. skutecznie przeciwstawia się skostniałemu w akademiźmie formalizmowi, a otwiera szeroką drogę do poszukiwania nowych form realistycznych, odpowiadających nowoczesnemu, socjalistycznemu sposobowi myślenia.

Jadwiga Borzysławska.

SZCZECIN - OPOLE - CZĘSTOCHOWA

TEATRY

Baśń o prawdziwej młodości

Państw. Teatr Polski w Szczecinie: M. A. Świetłow „Bajka", sztuka w 4 aktach. Przekład — Andrzeja Pułjanowskiego, inscenizacja i reżyseria Zbigniewa Sawana, dekoracje i kostiumy Władysława Buśkiewicza i Andrzeja Sadowskiego, muzyka Marka Andrzejewskiego, taniec układu J. Dracówny.

W ramach Festiwalu sztuk radzieckich i rosyjskich Państwowy Teatr Polski w Szczecinie postawił sobie nie lada zadanie: pokazać w pełnej krasie „Bajkę" Michała Arkadiewicza Świetłowa. Tę trudną a uroczą, nastrojową i poważną sztukę wystawiały już warszawskie „Rozmaitości" i teatr katowicki — sądząc po recenzjach — bez powodzenia. Czy będzie je miała szczecińska inscenizacja?

Niezdecydowane brawa na premierze, zachowanie się widowni na dalszych przedstawieniach biegunowa rozbieżność sądów widzów o sztuce, nawet pierwsze recenzje, dopatrujące się w „Bajce" obok reminiscencji antycznego chóru jakiegoś mieszczańsko-idealistycznego „pirandelizmu" — wszystko to zdaje się wskazywać na konieczność poparcia scenicznego wysiłku teatru akcją interpretatorską poza teatrem, w świetlicach, na dyskusjach, przed i po obejrzeniu przedstawienia. Akcję taką warto podjąć zarówno ze względu na literacką i ideową wartość sztuki Świetłowa, jak i ogrom włożonej w jej wystawienie pracy całego zespołu — technicznego i artystycznego — naszego teatru.

Czy teatr ponosi odpowiedzialność za rozminięcie się przedstawienia z widzem? Moim zdaniem — nie. To raczej niezwykłość wizji scenicznej Swietłowa, jej oryginalność, skomplikowana konstrukcja sztuki, wielość i różnorodność składających się na nią elementów — stawiają wrażliwości odczuwania i bystrości rozumienia widza, nawykłego do prostszej fabuły, nieznane dotąd wymagania.

Baśń, fantazję, marzenie przywykliśmy uważać za rodzaj ucieczki od rzeczywistości w świat lepszy, w każdym razie inny. Romantyczne marzenia rodziły się z rozdźwięku jednostki ze społeczeństwem. Romantyzm „Bajki" ma inną wymowę i inne źródła. Ten romantyzm — składowa realizmu socjalistycznego — nie jest w niezgodzie z rzeczywistością. Przeciwnie. Jego rolę w rzeczywistości można by określić trawestując słowa „Grenady": na skrzydłach epoki smyczkami marzenia gra pieśń nową, co naprzód nas gna...

W Związku Radzieckim sztuka Swietłowa należy do żelaznego repertuaru teatrów dziecięcych i młodzieżowych. Dla radzieckiej widowni jest ona łatwo zrozumiała, w socjalistycznej rzeczywistości marzenie ma bowiem więcej punktów stycznych z życiem codziennym. Czyż cały porewolucyjny wysiłek „kraju stu narodów" nie jest realizacją bajki o nowym życiu? Naszemu widzowi trzeba całej sugestii teatru, gry świateł i cieni, fantastyki dekoracji i kostiumów, wymownego układu scen zbiorowych, tonów muzyki i plastyki tańca, by uwierzył, że wyprawa po złoto to bajka, pod którą kryje się treść zupełnie inna, niż ta z opowieści o gorączce złota w Kalifornii czy Klondyke. Nasza przekształcająca się dopiero mentalność ulega pokusie traktowania poszukiwaczy złota serio. Tymczasem dla radzieckiego widza wyprawa w tajgę po złoto jest taką samą bajką, jak dla nas wyprawa Jazona po złote runo: a złoto... cóż złoto — można zeń zrobić „wieczne pióra", może — jak mówią Szurnik i Pietia — błyszczące guziki do marynarskich mundurów, a już na zęby nie nadaje się, bo ustępuje wysokogatunkowej nierdzewnej stali! Złoto, które dla nas ma jeszcze wartość realną, dla młodzieży radzieckiej, innymi już myślącej kategoriami, jest elementem bajkowym. Istotą wyprawy jest wysiłek dla społeczeństwa, podjęty z entuzjazmem, z gotowością do poświęceń, przez ludzi zdolnych do bohaterstwa. Tę rzeczywistość społeczną ubiera Swietłow w szatę bajkowej alegorii.

Jak niezwykle subtelnie przeprowadza Swietłow swe założenie ideowe, dowodzi taki choćby przykład: Wania sam siebie wyznacza na „czarny charakter", bo przecież nikogo z towarzyszy nie może „skazać" na popełnienie złego czynu nawet w bajce. A kiedy z logiki bajki wynika śmierć Katii i zdrada Wani (tego z bajki), Szurnik (właściwie bajkę oglądamy przez pryzmat jego wrażliwości) nie może pogodzić się z takim tokiem wydarzeń, godzącym w jego najgłębsze uczucia miłości, poświęcenia i przyjaźni, i z okrzykiem „To ja wychodzę z bajki!" — przerywa opowiadanie.

Czar pryska. Ale tylko pozornie. Jesteśmy znowu w studenckim pokoju. Tu jednak nie koniec bajki. Swietłow nie wypowiada ostatniego słowa. Jak w bajce zjawia się profesor Iwan Anisimowicz (Petycki), który teraz naprawdę poprowadzi ekspedycję w tajgę. Pojedzie z nim tylko Wania. Ale czyż inni przestaną snuć i realizować bajkę?... Bajka — rzeczywistość trwa.

Odtworzyć na scenie ten liryczny, poetycki, głęboko optymistyczny, humanizmem socjalistycznym przeniknięty nurt życia-bajki — to zadanie trudne i odpowiedzialne. Nie sprostały mu dotychczasowe próby wprowadzenia „Bajki" na polskie sceny. Trzeba powiedzieć, że szczeciński teatr wywiązał się z tego zadania. Mimo niedomagań technicznych, które rwały tok scenicznego działania się, scena dała w pełni artystyczny wyraz wewnętrznej treści sztuki. Użycie z wielkim nakładem uzupełnionej instalacji świetlnej pozwoliło inscenizatorowi uwypuklić całą bajkowość tej sztuki o młodzieży radzieckiej.

Inscenizatorsko - reżyserska strona przedstawienia jest imponującą zasługą dyr. Sawana. Szczupłość miejsca nie pozwala mi analizować pomysłowego układu grup, konstrukcji planów scenicznych, przenoszenia akcji z miejsca na miejsce przez drobne zmiany zabudowania scenicznego wnętrza — co wszystko tak doskonale harmonizowało i wyrażało umowność i swobodę bajki.

Do sukcesu szczecińskiej inscenizacji „Bajki" przyczyniła się wyrównana gra całej licznej jej obsady aktorskiej jak również dekoracje i kostiumy **Wł. Buśkiewicza i Andrz. Sadowskiego.** Ich koncepcja zabudowania sceny, lekka i prosta, podkreślająca bajkowość sztuki kotarami i odrealnieniem szczegółów, miękkie i delikatne, ukośne i faliste linie — stworzyły inscenizatorowi bogate możliwości rozplanowania sytuacji. Trzecim wreszcie elementem, stojącym do dyspozycji dyr. Sawana, była muzyka **Marka Andrzejewskiego**, dobrze wprowadzająca w nastrój, szkoda tylko, że wątła w brzmieniu, wskutek braku odpowiedniej ilości instrumentów. Tekstom piosenek Pułłanowskiego i Wolińskiej niejedno miałbym do zarzucenia.

Nie zmienia to jednak faktu, że w sumie szczecińska inscenizacja „Bajki" Swietłowa jest poważną pozycją festivalu i wielkim repertuarowym i scenicznym sukcesem Teatru Polskiego. **Walerian Lachnitt.**

„Przyjacielskie" premiery

W krótkim stosunkowo czasie wystąpił Teatr Ziemi Opolskiej z dwiema premierami. Pierwsza, zaprezentowana w ramach festiwalu sztuk radzieckich — to liryczna komedia radzieckiego pisarza Andrzeja Uspieńskiego pt. „Przyjaciele". Druga — to znana ze swych sukcesów na scenach polskich i zagranicznych sztuka spółki autorskiej J. Companeza i Y. Noe pt. „Przyjaciel przyjdzie wieczorem". Obydwie premiery stanowią wartościowe pozycje repertuarowe i zdobyły sobie zasłużony zupełnie sukces.

Komedia Uspieńskiego „Przyjaciele" wyróżnia się przede wszystkim szlachetną swą tendencją społeczną, wykazującą, jak głęboko ludzie radzieccy pojmują przyjaźń — i jak takiej przyjaźni podporządkować potrafią własne interesy, a nawet własne szczęście. Na tej ideologicznej kanwie szkicuje autor wnikliwie ujęte sylwety pięciu głównych bohaterów komedii, tworząc postacie żywe, pełnokrwiste, bliskie i sympatyczne widzowi. Operuje przy tym Uspieński wartko prowadzonym dialogiem, wykazującym duży talent sceniczny autora. Nie potrafi jedynie Uspieński należycie rozbudować poszczególnych sytuacji, skutkiem czego przepada szereg efektownych scen, jakie nasuwa akcja komedii. Ale mankament ten nie wpływa na walory całości komedii, która przemawia do widza miłymi i żywymi akcentami, budząc żywy oddźwiek zarówno dla samego konfliktu, jak i dla poszczególnych postaci komediowych.

Komedię Uspieńskiego wyreżyserował Wojciech Zagórski. Dał on, pomimo pewnych niedociągnięć, pracę sumienną i pomysłową, rokującą mu dobrą przyszłość.

W obsadzie aktorskiej pierwsza lokata należy się p. Sadowskiej. Zagrała ona trudną rolę kobiety-lotnika Aleksandry Kurniłowej doskonale. Duża swoboda gry i ujmująca bezpośredniość, a jednocześnie wysoce artystyczny umiar w środkach ekspresji scenicznej — złożyły się w sumie na postać bardzo ciekawą.

W superlatywach ocenić można również grę utalentowanego aktora p. Mieczysława Łeckiego, oraz sekundującego mu dobrze w roli drugiego przyjaciela dyr. Lecha Zarzyckiego.

Dobrą postać aktorki Orłowej, troszczącej się aż do przesady o szczęście i życie przyjaciół — dała p. Józefa Szczepańska, aktorka o dużej kulturze scenicznej i dużej wnikliwości artystycznej.

Dobrą oprawę dekoracyjną „Przyjaciół" opracował p. Wiesław Opałek.

„Przyjaciel przyjdzie wieczorem" to sensacyjna opowieść sceniczna, poświęcona bohaterskim zmaganiom francuskiego Ruchu Oporu z bestialskimi okupantami hitlerowskimi. Autorzy opowieści Companez i Noe znają dobrze rzemiosło pisarskie. Stworzyli sztukę, pełną napięcia dramatycznego, obfitującą w liczne, bardzo emocjonujące sceny i niespodziewane efekty. Toteż całość — mimo pewnych nieprawdopodobieństw sytuacyjnych — trzyma uwagę widza w ustawicznym napięciu, dając sumę silnych wrażeń.

Sztukę wyreżyserował dobrze znany artysta scen warszawskich Zbigniew Koczanowicz, który jednocześnie doskonale zagrał rolę hitlerowskiego szpiega dr. Tillera. Dalsza obsada aktorska jest również bardzo dobra. Wymieniamy: doskonałą Helenę w ujęciu p. Sabiny Mielczarek — świetną postać baronowej w interpretacji p. Wieczorkowskiej, — przemiłą Klarę w wykonaniu Ireny Chudzik, — dobrą tym razem w roli Beatrycze p. Murawską, oraz panów: dyrektora Zarzyckiego, Kleyna (doskonały Robert), Bay-Rydzewskiego, Wojciecha Zagórskiego, Janusza Gorzkowskiego, Romana Hubczenkę, Karola Rogalskiego i Longina Dubrawskiego.

Pomysłową i bogatą oprawę dekoracyjną stworzył p. Jerzy Zieliński.

„Przyjaciel przyjdzie wieczorem" cieszy się gorącym aplauzem licznie odwiedzającej teatr publiczności.

Następną premierą „Teatru Ziemi Opolskiej" będzie popularna, ale niezawodna tragi-farsa Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej".

Władysław Lubecki.

Elżbieta Wieczorkowska jako baronowa w sztuce „Przyjaciel przyjdzie wieczorem" w Teatrze Ziemi Opolskiej.

Fot. Br. Stapiński.

„Przyjaciel przyjdzie wieczorem" J. Companez'a i Y. Noe'go w Teatrze Ziemi Opolskiej w reżyserii Zbigniewa Koczanowicza. Scena z aktu III.

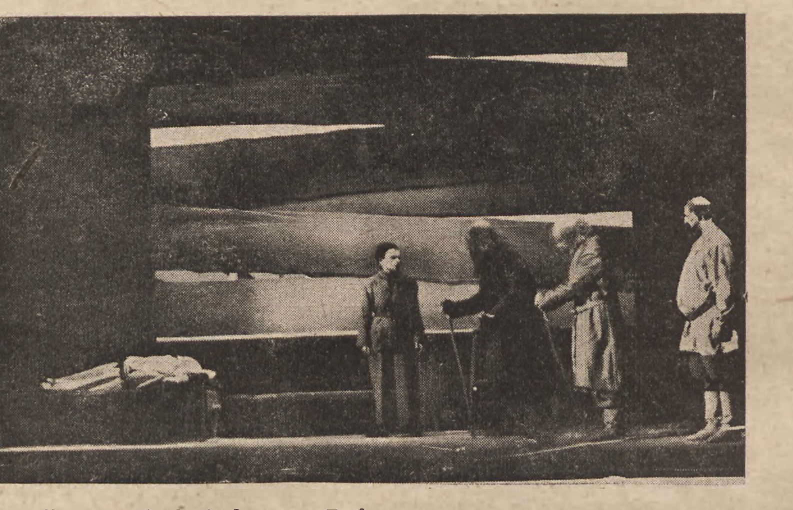

„Bajka" M. A. Swietłowa w Państwowym Teatrze Polskim w Szczecinie, w reżyserii Zbigniewa Sawana. Dekoracje i kostiumy Władysława Buśkiewicza i Andrzeja Sadowskiego

Zawody drobnomieszczańskie

„...przyrodzonem uczuciem krytyki jest głód; jest ona wiecznem dzieckiem, które domaga się cudów, a potem każdy cud psuje złośliwie i tę robotę destrukcyjną podaje ironicznie jako twór własny."

Karol Irzykowski: Czyn i Słowa. (Zza kulis krytyki)

Trudno było przypuszczać, pisząc sprawozdanie z adaptacji scenicznej plautyńskiego *Żołnierza Samochwała*, że Teatr Państwowy w Częstochowie będzie miał jakieś głębsze cele do osiągnięcia. I dlatego *Rycerza Samochwała* Czyńskiego i Nela można było potraktować — dla jego oryginalności — jako fajerwerk w życiu teatralnym Częstochowy od czasu wspaniałej działalności teatrologicznej Ivo Galla.

A jednak przyjrzenie się następnym sztukom każe zmienić zdanie. Wystawienie *Szczyglego Zaułka* Shawa, *Domu Kobiet* Nałkowskiej i *Pana Damazego* Blizińskiego — przekonuje nas, że dyr. Eugeniusz Poreda ma przemyślane założenia, ujęte w cykliczność widowiskową, a nie — fajerwerkowość.

Po parafrazie *nieróbstwa*, wykazującej bezwartościowość człowieka i jego szkodliwość społeczną zarówno w przeszłości starożytnej — jak dziś, (o zasięgu ogólnoludzkim), — mamy możność przyjrzenia się krzywdzie najbiedniejszych i wyzyskowi ich (Shaw), — zdradzie małżeńskiej — i to obustronnej (Nałkowska), — oraz nienasyconej zachłanności ludzkiej, głuchej i ślepej na sieroctwo (Bliziński).

1.

Zastanówmy się chwilę nad *Szczyglim Zaułkiem*.

Wyciąganie pieniędzy z mieszkańców jego przez Sartoriusa i przez Syroliza woła wprost o pomstę.

A kary nie ma jednak!

Bo wszystko sprzysięgło się przeciw nieszczęśliwym biedakom. Sartorius jest bezwzględny, gdyż pieniądze musi mieć dla „godnych" wspólników (Trench); Syroliz jest bezwzględny w bezpośrednim ściąganiu czynszu, gdyż nie może stracić posady (wobec czworga dzieci własnych!); Trench partycypuje w zyskach, bo mu to dogadza; Blanka nie chce słyszeć o ograniczeniach. — Wszystkich zatem musi zaspokoić człowiek-nędzarz, z którego wyciska się ostatni grosz.

Kiedy widzi się i słyszy się zakończenie sztuki, chce się krzyknąć:

— Nie tędy droga!

Takie filozofowanie i takie moralizowanie nie zda się na nic w czasach dzisiejszych, kiedy układ sił społecznych ulega obrotowi o całych 360 stopni!

Kształtowanie ewolucyjnego poglądu na świat wśród społeczności angielskiej zetrze się z poglądem rewolucyjnym, jako więcej bezpośrednio oddającym ducha przemian, ducha czasu. — To, co było do przyjęcia ze stanowiska kpiarstwa przed wojną, staje się przestarzałe po wojnie, a grywanie tych sztuk u nas naprzykład, ma wykazać, *bez żadnej ansy*, że takie środki wychowawcze wyszły już u nas z użycia wobec opieki, roztaczanej ustawowo nad pokrzywdzonymi, wobec niemożności zarabiania na nędzarzach, wobec stosowania konsekwencji skończenia z wyzyskiem człowieka!

2.

Inaczej reagujemy na *Dom Kobiet* Nałkowskiej. Słyszało się głosy premierowiczów:

— Dajcie pokój z taką sztuką!...

— Dziś... Takie zagadnienia?...

— Ładny światek kobiecy!...

— Co one chcą? Jaką wartość społeczną przedstawiają?...

— Mimo woli przychodzi chęć wznowienia *Sprawy Moniki*, którą chętnie umieściłoby się w takim właśnie wiejskim domu kobiet, by nie wychodziła więcej na zewnątrz jako zagadnienie literackie i społeczne, a zasadniczo — psychologizujące.

Fabuła sztuki nie przedstawia szczególnego interesu, a fakt zdrady Nielewiczowej niepotrzebnie stwarza komentarz psychologiczny, trwający z niedomówieniami i wyjaśnieniami, aż całe trzy akty, podczas których widz przekonuje się, że wszystkie kobiety, biorące udział *w rzekomej* akcji, żyją tylko *w sobie i dla siebie*, a nie *między* sobą, czym wykazują zupełną *niespołeczność* swoją. Takie psychologizowanie zmusza widza do zastanowienia się nad założeniem sztuki i prowadzi go do wniosku, że niepotrzebnie bierze udział w sprawie, która jest załatwiana połowicznie, szczególnie pod koniec, kiedy Łasztówna, nieprawa córka Nielewicza, staje się utrzymanką zwierzchnika biura, by zapewnić byt matce oraz bratu. — I teraz można opowiedzieć się bez zastrzeżeń za sądem K. Irzykowskiego, który mówi z innej racji: „Zamiast psychologii zwycięskiej, opanowującej stany duszy w imię pewnego celu — psychologia bierna, pełna kultów i przesąd, nie lecząca, lecz rozszerzająca rany", do czego doprowadziło „nurkowanie w życiu uczuciowym".

Brak owej „psychologii zwycięskiej" „w imię pewnego celu" wskazuje na fikcję założeniową i na słabość kompozycyjną *Domu Kobiet*. Boć przecież nie można twierdzić, że Łasztówna musiała opuścić wiejski dom kobiet, że musiała stać się utrzymanką, że musiała okazać się człowiekiem słabej woli, człowiekiem biernym...

3.

I wreszcie — słówko o *Panu Damazym*.

Z cyklu wystawionych sztuk — najwięcej przestarzała, i może przez to wyróżniająca samego pana Damazego czystością psychologiczną, wynikjącą z prawości charakteru. Dlatego widownia staje od razu po jego stronie, wiedząc, że nie jest zdolny do popełnienia podłości, lecz, przeciwnie, potrafi stanąć w obronie sprawiedliwości, w obronie skrzywdzonych sierot. Chociaż nie widzi się *w Panu Damazym* „zamówienia społecznego", to jednak strona społeczna tkwi w nim sama z siebie — i to jest największą zasługą Blizińskiego. Tendencja — bez tendencyjności: zrealizowanie postulatu sprawiedliwości, wynagrodzenie krzywdy, a jednocześnie — rozumne ukaranie zachłanności i przewrotności ludzkiej, upostaciowanej w rejencie, cioci-wdowie i jej „godnym" siostrzeńcu.

*

Na takim podłożu literackim i rzekomo społecznym wyrasta gra aktorów w tych trzech sztukach, przy czym *w Szczyglim Zaułku* święci triumfy cały zespół.

Reżyser *(dyr. Eugeniusz Poreda)*, nie pominął ani jednego ośrodka, który mógłby spowodować jakieś niedociągnięcia. Toteż całość *Szczyglego Zaułka* przedstawia pełną wartość sceniczną.

Staranna również reżyseria *(Stanisław Czaszka)*, *Domu Kobiet* nie uwypukliła tego, co zapowiada program, że „obchodzi nas tylko historia Ewy". Przeciwnie: zupełnie uwyraźniły się obydwie sprawy, to jest Joanny i Ewy, wykazujące całkowitą ich nieaktualność, co jest sprzeczne z ostatnim zdaniem programu, stwierdzającym: „Skończył się prywatny romans. Stanęliśmy wobec problemu społecznego."

Trudno zgodzić się na „romans dla romansu", jak trudno wyznawać dziś zasadę „sztuka dla sztuki". Trudno również doszukiwać się problemu społecznego tam, gdzie go nie ma! Uwyraźnienie *braku* właśnie tej *ideowości* jest potwierdzeniem staranności sztuki reżyserskiej, która celowo zamazała stronę typo i charakterologiczną aktorek, słusznie nie wnoszących w grę nic nowego. W tym zaznacza się stopień i poziom ich gry, a jednocześnie przebrzmiały charakter sztuki, podzielającej los przebrzmiałego równie *Pana Damazego*, którego nie jest w stanie ożywić (łącznie z *Domem Kobiet)*, żadna scenografia. O wiele silniej zharmonizowana jest strona scenograficzna *w Szczyglim Zaułku*, uwzględniająca założenie businessman'owe: obfite stosowanie złotego pluszu na kotary, draperie itp. Ta barwa wyraźnie świadczy:

— Tu panuje pieniądz!...

Jest to osiągnięcie scenografa *(Kazimierz Pręczkowski)*.

*

Kończąc drugie sprawozdanie widowiskowe Teatru Państwowego w Częstochowie, trzeba stwierdzić, że omawiane w nim sztuki (wraz z Rycerzem Samochwałem), tworzą zespół cykliczny, prawdopodobnie nie zamknięty jeszcze, którego dewizą jest: *Uczyć przez negację*.

A jeśli tak, to z nieprzepartą siłą nasuwa się pytanie, jakie sztuki wejdą do cyklu, którego dewizą stanie się:

— Pozytyw jeszcze lepiej wychowuje!

Jeśli ciekawość naszą będziemy mogli zaspokoić, wtedy powiemy, że nie było jeszcze w Polsce teatru, który zrealizowałby tak szczęśliwą metodycznie myśl.

J. M. QUISQUID

„Krótkie spięcia"

Teatralne innowacje

Innowacje teatralne na naszym terenie...? Ejże — ktoś by zawołał — a cóż to takiego? Na razie jeszcze nic o tym nie słyszeliśmy...!

— Możliwe. Ale właśnie dlatego warto na ten temat, jak to się mówi, kilka słów poświęcić. Nie są to zresztą żadne jakieś sensacje, niemniej jednak coś, co z pewnością wszystkich, interesujących się sprawami teatralnymi, zaciekawi.

Na przykład więc taką innowacją teatralną jest akcja Państwowego Teatru Polskiego w Bielsku na terenie Czechosłowacji. W ramach wymiany kulturalnej między obydwoma państwami teatr bielski jeździ ze swymi sztukami do Czechosłowacji, zaś „Tesinske Divadlo" przyjeżdża znowu ze swym repertuarem do nas. Inna rzecz, że ta wymiana została już zapoczątkowana dawniej, jeszcze za dyrekcji w Bielsku Stanisława Kwaskowskiego, tylko, że wówczas miała ona charakter raczej sporadyczny od czasu do czasu, i właściwie tylko przy wyjątkowych okazjach.

Dziś natomiast jest to już coś stałego, albo że użyjemy terminologii kolejowej, wahadłowego. Tak jak bowiem pociągi kursują między jedną stacją końcową a drugą, tak te dwa teatry, prowadzone przez Aleksandra Gąssowskiego i Josefa Zajica, składają sobie wzajemne wizyty, naturalnie nie koniecznie w stałej siedzibie sąsiada. Teatr bielski na przykład grywa nie tylko w Czeskim Cieszynie, ale i w Morawskiej Ostrawie, Orłowej, Karwinie, Stonawie, Trzyńcu itd.

Co do teatru czeskiego, to zasięg jego obejmuje na razie polski Cieszyn i Bielsko, życzyć by sobie jednak należało, aby docierał on też od czasu do czasu, powiedzmy do Katowic, albo nawet i do Krakowa.

Nie koniec jednak na tym. Oba teatry stosują dla swych aktorów rodzaj seminariów teatrologicznych, polegających na wzajemnych wykładach reżyserów czy innych ludzi teatru, na tematy związane z rozwojem sztuki w obu państwach, lub też w innych krajach. Na razie ten ruch seminaryjny jest jeszcze w zaczątkach, ale istnieje uzasadniona nadzieja, że rozwinie on się bardziej i przybierze szerszy zakres szkoleniowy.

Rzecz prosta, że byłoby truizmem mówić o znaczeniu tego rodzaju wymiany kulturalnej dla zbliżenia i dobra obu narodów, wystarczy więc, że wyrazi się tylko tutaj życzenie, aby ta wymiana rosła z dniem każdym i obejmowała co raz szersze dziedziny.

Drugą innowacją, chociaż innego typu, wprowadził znowu Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej pod dyrekcją Lecha Zarzyckiego. Zapoczątkował on mianowicie, o ile można się tak wyrazić, widowiskowe szkolenie aktywu kulturalno-oświatowego, czyli kierowników świetlic, reżyserów teatrów ochotniczych itd. z całego okręgu opolskiego. Zapraszani są oni na każdą premierę i przed spektaklem odbywają się dla nich krótkie prelekcje nie tylko o samej sztuce, ale o jej przygotowaniu, reżyserii, adaptacji scenicznej, stronie dekoracyjnej oraz w ogóle o całej tzw. kuchni teatralnej.

W przerwach świetlicowych asystują przy zmianach dekoracji i mogą rozmawiać z aktorami i wypytywać się ich o najrozmaitsze szczegóły, związane z pracą w teatrze.

Ta innowacja „szkolenia widowiskowego" może bardziej niż wszelkie kursy i teoretyczne wykłady zapoznaje członków aktywu kulturalno-oświatowego z teatrem z prawdziwego zdarzenia i daje im szerokie możliwości do wprowadzania w życie na swoim odcinku pracy tego, czego się przy takim szkoleniu nauczyli. Owej więc inicjatywie Teatru Ziemi Opolskiej należy tylko przyklasnąć.

Tyle zatem jest wiadomości o innowacjach teatralnych na naszym terenie. Kto o nich nie słyszał, to teraz niech już wie.

Dixi.

Niejaki X.

Z CAŁEGO ŚWIATA

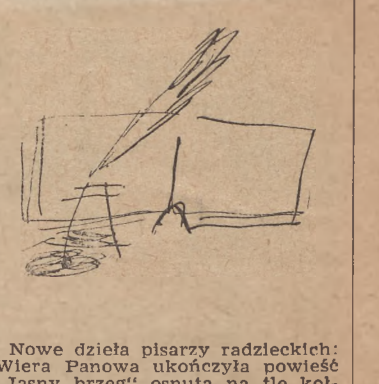

Nowe dzieła pisarzy radzieckich: Wiera Panowa ukończyła powieść „Jasny brzeg" osnutą na tle kołchozu i pracuje nad nową powieścią pt. „Przewodniczący rady miejskiej". O. Forsz pisze powieść o dekabrystach. Aleksander Bek napisał nową powieść, której bohaterem jest inżynier radziecki. M. Bubiennow pisze drugi tom powieści „Biała brzoza", mającej za temat klęskę Niemców pod Moskwą. W. Zakrutkin pracuje nad powieścią z życia kołchozów rybackich nad Donem.

Wydawnictwo Państwowe w Mołdawii wydało almanach literacko-artystyczny „Dniestr", w którym opublikowali swe prace młodzi pisarze rosyjscy, zamieszkujący w Republice Mołdawskiej. Z okazji dwudziestopięciolecia istnienia Republiki Mołdawskiej pisarze mołdawscy napisali poemat pt. „Radzieckiej Mołdawii — cześć!" Poemat ten wychodzi w języku mołdawskim i rosyjskim. Pracowało nad nim 18 poetów. Z okazji tej rocznicy wyjdzie również „Antologia literatury mołdawskiej", tom wierszy P. Kruczeniuka „Nasze jutro", tom wierszy młodego poety K. Kondrii „Młodość" i sztuka A. Lupana „Światło".

Kompozytorzy radzieccy przygotowują szereg nowych utworów symfonicznych: A. Chaczaturian ukończył suitę „Bitwa pod Stalingradem", W. Muradieli kończy poemat symfoniczny „Zdobycie Berlina", B. Szachter pisze symfonię opartą na motywach rosyjskich pieśni rewolucyjnych, R. Glier ukończył suitę z baletu „Jeździec miedziany", A. Mosołow pisze „Symfonię kołchozu".

E. Kożewnikow, dyrektor Państwowej Biblioteki Publicznej im. Sałtykow-Szczedrina opracował bibliografię wybitnego poety rosyjskiego Aleksieja Kolcowa (1809—1842). Bibliografia ta zawiera ponad 5000 pozycji i obejmuje lata 1830—1948.

Za dwa miliony franków sprzedano książek postępowych pisarzy francuskich w czasie dorocznej sprzedaży organizowanej przez Comite National des Ecrivans. Pisarze sprzedawali swe książki sami, opatrując je równocześnie autografami. Wśród kupujących było wielu robotników i delegacji wielkich zakładów pracy. Udział ich był manifestacją na cześć Aragona, który sam sprzedał 2400 egzemplarzy swoich książek.

Po raz pierwszy przewodniczącym słynnej Akademii braci Goncourtów ma zostać kobieta. Na stanowisko to jest przewidziana znana postępowa pisarka francuska Colette. Jest ona jedną z najpopularniejszych współczesnych autorek we Francji, a jej powieści doczekały się kilku przeróbek scenicznych i filmowych.

W Beaune zmarł w 70 roku życia jeden z wybitniejszych reżyserów francuskich Jacques Copeau. Działalność swoją rozpoczął w r. 1908. W r. 1913 założył znany i ważny dla rozwoju teatru francuskiego teatr Vieux-Colombier. Walczył przeciw komercjalizacji teatru i wulgaryzowaniu jego zadań. Wychował wielu wybitnych aktorów, jak Dullina, Jouveta, Teissiera i in. W latach 1925—1936 usunąwszy się z Paryża zorganizował w Beaune objazdowy teatr dla wsi. W r. 1936 został wraz z Dullinem i Jouvetem reżyserem Comedie Francaise.

115 lat temu urodził się największy dotychczas poeta fiński Aleksis Kivi (1834—1872), autor powieści „Siedmiu braci" i świetnej komedii „Szewcy wiejscy". Z okazji tej rocznicy Towarzystwo jego imienia przyznało nagrodę literacką w wysokości 75.000 marek fińskich noweliście Viljo Kojo.

Instituto del Dramma Italiano po dokonaniu oceny wystawionych w minionym sezonie teatralnym nowych sztuk przyznał następujące nagrody: 600.000 lirów otrzymał Ugo Betti za sztukę „Corruzione al Pallazo di Giustizia" (Korupcja w Pałacu Sprawiedliwości"), a 400.000 lirów Silvio Giovanninetti za sztukę „L'abisso" („Otchłań").

W Rzymie wyświetlany jest po raz pierwszy film „Il mulino del Po" („Młyn nad Padem"). Reżyserował Albert Lattuada. W głównej roli kobiecej Karolina del Roggio. Film zyskał duże uznanie publiczności i krytyki. Równocześnie trwa dyskusja nad filmem reżysera Santisa „Gorzki ryż", któremu zarzuca się powierzchowne opracowanie tematu.

Wiedeński Theater der Courrage otworzył sezon sztuką W. Steinera „Patrol". Sztuka ta osnuta na temacie wojennym otrzymała nagrodę austriackiego Związku Pisarzy Dramatycznych.

W Wiedniu odbyła się premiera nowego filmu austriackiego. Jest nim film K. H. Strouxa „Spotkanie z Wertherem". Temat zaczerpnięty jest z Goethego „Cierpień młodego Werthera".

Ku czci Chopina otwarto w Meksyku wystawę litografii poświęconych naszemu kompozytorowi. Wystawę zorganizował „Taller de Grafica Popular". Wyróżniają się tu prace O'Higginsa, Beltrana i Leopolda Mendeze.

W Kairze zmarł Nagib ar-Rihani, twórca nowoczesnego teatru egipskiego. Jako aktor komediowy cieszył się w ciągu trzydziestu lat swojej pracy ogromną popularnością.

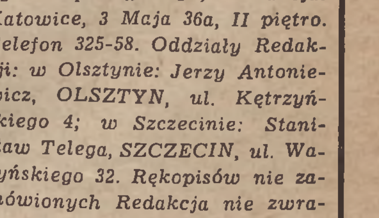

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.

R - 019779